

AVECIARZ

BEZPŁATNIE PRZEZ FUNDACJĘ AVE

aveciarz@gmail.com 022-402-25-51 www.aveciarz.pl

ISSN 1896-2173

Po prostu - POMÓŻMY IM!!!

Czytając podobne teksty i apele, często myślimy: „darmozjady, niech się wezmą do roboty!” Zdecydowaliśmy się na publikację, ponieważ towarzyszymy bohaterom reportażu od 3 lat. I widzimy, że darmozjadami nie są. Z ogromną determinacją i godnością borykają się z przeciwnościami losu i złem świata. Nie marnują otrzymanej pomocy. Wiele trudu włożyli w ocalenie własnej rodziny! Zaczęli wychodzić na prostą. Mają już pracę, dbają o dzieci, są rzetelni. Los jest jednak nieubłagany. W tym roku Katarzyna zachorowała na raka, przeszła dwie operacje. Teraz trzeba im pomóc w urzędzeniu się i przetrwaniu zimy! Wierzmy, że warto dać im szansę. Dlatego w minionym roku Fundacja AVE wspomogła finansowo rodzinę Katarzyny. Teraz potrzeba jeszcze większego wsparcia. Przyda się dosłownie wszystko; pomoc może każdy – np. kupując jeden zeszyt czy komplet kredek więcej... Liczymy na ludzi o wielkim sercu.

Jest połowa października. Niedzielne, leniwe, dżdżyste popołudnie. Barwy przyblakły, zmokły i zmarzły. W taki dzień zapomina się o lecie i zaczyna liczyć dni dzielące nas od zimy. Nastrój poprawia placek ze śliwkami i gorąca, aromatyczna herbata. Dom wypełnia miła, nastrojowa muzyka i beztronski śmiech dzieci, bawiących się w ciepłym pokoju. Kto nie musi, niech nie opuszcza przytulnego miejsca, bo o katar nie trudno.

Tymczasem dwóch małych chłopców wydeptuje ścieżkę przez mokrą trawę; czegoś szukają, zaglądają pomiędzy worki, deski, paczki. Widać, że to miejsce nie jest im obce, choć odkrywają je na nowo. Tutaj czują się bezpiecznie. Na policzkach dzieci rumieńce; trudno powiedzieć czy z zimna, czy raczej z przejęcia. Nie są tu sami – nieopodal kręcą się jacyś ludzie. Wyglądają na bardzo zajętych i równie przejętych. O czymś zawzięcie dyskutują, coś mierzą, dźwigają, to wymachują ramionami, to znów spuszczają ze smutkiem głowę. Dwie osoby odchodzą na bok, patrzą sobie w oczy. Jedna z nich wygląda na zniechęconą, za to z drugiej tryska entuzjazm. A może tylko determinacja lub upór? Fakt, że swą siłą zaraża tę pierwszą osobę. W jednym momencie razem sięgają po jakiś pakunek. Niosą go w kierunku niewielkiego budynku, który wygląda na dom lub tylko domek. Jest jakby nierówny, przekrzywiony, niedomalowany albo

raczej pozbijany z różnych materiałów. Ale to jednak musi być dom! Można się domyślać, że wewnątrz nie wygląda najlepiej. Pewnie jest tam zimno, bo drzwi są szeroko otwarte, a z komina nie wydobywa się nawet ślad po dymie. I chyba jest tam ciemno, bo przez małe szybki nie przesącza się do środka za dużo światła, a nie widać błysku żarówki. Może jeszcze za wcześnie na jej włączenie, a może jej tam wcale nie ma...

Katarzyna i Paweł wchodzą na strych. Ich oczom ukazuje się przerażający widok – zbutwiałe deski ze śladami po pożarze. Wspomnienia napływają nieproszone; od tamtej pory minęło już... Ale nie pora i miejsce, by liczyć minione lata. Było, minęło. Pora działać. Nie ma czasu i środków na gruntowne naprawy. Trzeba tylko sprawdzić, czy dach nie przecieka, czy wytrzyma deszcz i śnieg. A wiosną się zobaczy.

Jeszcze skrupulatny przegląd każdej ze ścian domu. Grzyb pokrył część zajmowaną przez matkę Katarzyny. To przez nieszczelne okna. Należy je wymienić w pierwszej kolejności. Ściany osuszyć, zabezpieczyć, ocieplić... Katarzyna zapisuje wszystko na kartce. Gdy podliczą czekające ich niezbędne wydatki, na pewno okaże się, że trzeba z czegoś zrezygnować. Ale pozostawienie wszystkiego w takim stanie grozi rozprze-

strzeniem się grzyba i może się okazać, że prace podjęte dziś po ich stronie domu, pójdą na marne. Katarzyna stawia wykrzyknik przy słowie okna. Gdy się porządnie napali w piecu, to przy dobrych oknach ciepło nie będzie uciekało, ściany trochę przeschną i wilgoć zniknie. Da się wytrzymać.

Pytanie o piec. – Dobra „koza” – myśli Katarzyna – ogrzewała nas na Cieślowskich, teraz zamieszka tutaj – stary piec został właśnie wyniesiony i jego miejsce zajmuje ten mały. – Mały, ale jak dobrze ogrzewa, a tamten tylko dymił – Katarzyna patrzy z niesmakiem na czarną, rozmazaną na ścianie plamę. To od sadzy, które się wysypały, przy wymianie rury.

– Trudno – wrusza ramionami. – Na razie musi tak być. Póki co, nie mamy farby, żeby pomalować kuchnię – wdycha i zapisuje na kartce: farba. Po czym stawia znak zapytania – potrzebna, ale w drugiej kolejności. Lepiej po-

myśleć o tym, co wrzucać do pieca.

Katarzyna wchodzi do ich dawnego pokoju, rozgląda

Katarzyna wie to doskonale. Łóżka, stół, krzesła no i jakiś regał czy inna meblościanka, żeby było gdzie pochować rzeczy. Zapisala to na kartce i otoczyła pętlą. Trzeba będzie poprosić, może ktoś chce się pozbyć takich rzeczy.

– W dobrym stanie jest tylko biurko dla Kubusia –

analizuje – postawi się je pod oknem i będzie miał swój kąt.

się. Ocenia zrobioną wyłewkę.

– Dobrze – mruczy pod nosem. – Na to pójdą panele, potem ładny dywan od tej pani i dzieci będą mogły bezpiecznie siedzieć na podłodze.

Paweł właśnie wniósł

ostatnią paczkę paneli, kupioną dzięki wsparciu dobrych ludzi. Muszą tu leżeć i czekać – najpierw prąd.

– Prąd już w tym tygodniu – uśmiecha się Katarzyna, jakby odpowiadając na pytanie męża. – Potem kończymy podłogę i można wstawiać meble.

– A skąd weźmiesz te meble? – Paweł nie ma tyle entuzjazmu. Udało mu się znaleźć pracę, ale zarobki nie wystarczą na kupno wszystkiego. – Zżarła je wilgoć, reszta się rozsypała od ciągłego rozkładania i przenoszenia w różne miejsca.

Chłopcy spali na piętrowym łóżku ale rzeczywiście od rozkręcania i skręcania całe się chwieje i aż strach pomyśleć, czym może grozić jego dalsze użytkowanie.

– Pójdzie na spalenie a dzieciom kupiłabym takie rozkładane foteliki. Przecież musimy się pomieścić w jednym pokoju. – Katarzyna powiększa listę o łóżka, stół, krzesła, regał. Martwi się ale jest dobrej myśli. – Damy radę. Z czasem.

Drukowanymi literami zapisuje: hydrofor, terma, nieduża wanna. Niezbędne, żeby uruchomić łazienkę.

– Całe szczęście, że dziadek nie zniszczył sedesu. – Kupili nowy, zainstalowali i poprowadzili instalację wodną, ale nie zdążyli wykończyć łazienki. Dziadek zaczął bowiem robić „porządek” według swojej życiowej filozofii: zdecydował się ich po prostu wyrzucić jak śmieci. Ale nawet te wyrzucone beztronsko na ulicę nie pozostaną tam długo – ktoś się nimi wreszcie zajmie. Z ludźmi nie jest tak łatwo. Wyrzucić człowieka, to skazać go na poniewiekę, to skazać go na poniewiekę aż w końcu na... I nie tak

Dokończenie na s. 8



Z pasją na TY

W nowej życiowej sytuacji chyba każdy – nawet najodważniejszy człowiek – odczuwa strach i dyskomfort. Stykamy się z czymś zupełnie nieznanym, trzeba znów starać się o akceptację. Takie też odczucia towarzyszyły mi w pierwszym dniu studiów. Szybko jednak strach ustąpił zaciekawieniu.

A to za sprawą jednego z wykładowców. A było to tak: jak to zwykle na pierwszych zajęciach bywa, każdy miał się przedstawić i opowiedzieć o swojej pasji. Moja koleżanka wyznała, że w wolnych chwilach lubi robić biżuterię – kolczyki, bransoletki itp. Na swoim ręko-dziele nie zarabia, ale zawsze ma oryginalne prezenty urodzinowe dla przyjaciół. Profesor zapytał, czy zamierza związać z pasją swoją przyszłość. Dziewczynę to pytanie wyraźnie zaskoczyło, po chwili przyznała, że chętnie wybrałaby się do szkoły, specjalizującej się w kształceniu osób z podobną pasją. Dodała, że robi to dopiero po skończeniu studiów. Jakież było moje zdziwienie, gdy wykładowca niemal oburzył się na to stwierdzenie! Zapytał z wyrzutem: „Dlaczego chce pani czekać ze swoją pasją?”, a później zwrócił się do nas wszystkich: „Szanowni państwo, jeśli oprócz języków (studium lingwistyki) posiadacie inne zainteresowania absolutnie i pod żadnym pozorem nie rezygnujcie z nich! Owszem, wykładowcy będą od państwa wiele wymagać, czas może także stać się przeszkodą, ale pamiętajcie, że możecie i powinniście swoje pasje łączyć! Bezdiskusyjnie!!!”.

Ten krótki wykład dał mi wiele do myślenia; nie ukrywam, że w pewnym sensie pozytywnie mnie zmotywował i dodał nieco otuchy po lekturze napiętego grafiku zajęć uczelnianych. Śmieję się, iż według słów mo-

go profesora powinienam uczyć się nowych angielskich słówek śpiewając je albo tańcząc z książką od rosyjskiego w rękę. Właściwie, czemu nie? Zdałam sobie sprawę, jakkolwiek trywialnie to zabrzmiało, że nie warto rezygnować ze swoich marzeń! Czasem nawet najbardziej dziwaczne pomysły mogą stać się życiową drogą, źródłem nie tylko finansowej stabilizacji, ale – co najważniejsze – szczęścia. Ostatnio oglądałam w telewizorze program „Kobieta na krańcu świata”, którego bohaterka – Angielka, Daphne Sheldrick z miłości do zwierząt założyła w Kenii... sierociniec dla słoniątek! Choć jest to praca trudna, wymagająca sporej psychicznej dojrzałości „afrykańska Europejka” robi to, co naprawdę kocha i czuje się autentycznie spełniona.

Często zapominamy o tym, że szkoła, studia mają pomóc w rozbudzeniu, systematyzowaniu i realizowaniu naszych zainteresowań. Przyznaję, sama często mam wrażenie, iż jest zupełnie odwrotnie. Ale przecież nie od dziś wiadomo: „chcieć” to pierwszy krok do „móc”. Nawet jeśli doba ma tylko 24 godziny, a pani od biologii wymaga znajomości wszystkich bezkręgowców.

Ola Borycka
redaktor naczelna

*Ola Borycka,
studentka
lingwistyki UW,
fanka kultury
rosyjskiej, śpiewu,
tańca i kajaków*



BIAŁOŁĘKA W OBIEKTYWIE



Przy okazji budowy nowego peronu kolejowego w Pludach zadbane o estetyczny wygląd otoczenia, m.in. zasadzono nową trawę. Niestety nikt nie zauważył, że na sporym odcinku jezdnii brakuje krawężnika. W zagłębieniu zbiera się woda, którą przejeżdżające auta rozbryzgują na boki. W ten sposób zielona trawa zamienia się w błoto, a skarpa osuwa się na jezdnię. Niedopatrzenie? Brakoróbstwo? A to Polska właśnie...

Jan Pelczyński

WODOLOTEM A MOŻE SAMOLOTEM?

**- Jasiu, jak dojeżdżasz do szkoły? – pyta pani nauczycielka.
- Ja nie dojeżdżam! Ja dopływam! Wodolotem!!!
Taki dialog może mieć miejsce już niebawem. Brzmi szpanersko, nie?**

Od razu zaznaczam, że nie chcę z góry dyskredytować pomysłu zarządu dzielnicy Białoleka. Nie chodzi też o żadną walkę polityczną. Co prawda w ubiegłym roku kpiliśmy sobie w „Aveciarzu” z pomysłu uruchomienia tramwaju wodnego na Kanale Żerańskim i nawet opublikowaliśmy satyryczny rysunek, na którym burmistrz z wielkim wysiłkiem ciągnął statek. Teraz mam wątpliwości, czy proponuje się mieszkańcom racjonalne, docelowe rozwiązanie, czy też najzwyczajniej mydli oczy?

Niewiadome

W ostatnim tygodniu media doniosły, że pomysł usprawnienia komunikacji na Białolece poprzez wykorzystanie Kanału Żerańskiego ziści się najprawdopodobniej na wiosnę. Ruszy nie tylko statek pełniący funkcję tramwaju wodnego, ale być może także dwa wodoloty. Warszawskie gazety i telewizyjne programy informacyjne odgrażyły sukces. Szkoda, że tak wcześnie, zanim poznamy wyniki podstawowych ekspertyz. Nie wiadomo jeszcze wielu rzeczy: czy fala nie zniszczy brzegów kanału, kto zapłaci za wybudowanie przystanków i ile ich będzie.

Nie twierdzę, że pomysł wykorzystania Kanału Żerańskiego dla poprawienia komunikacji jest zły. Wręcz przeciwnie. Chwała burmistrzom, że próbują rozwiązywać problemy Białoleki, co więcej w obecnej sytuacji każda dodatkowa (podkreślam: dodatkowa) bezkolizyjna forma jest godna poparcia. Nawet samolot czy helikopter.

Zima, matematyka i cena

Jakkolwiek medialnie brzmi hasło „Spływam do roboty!”, to za mało, by mówić o efektywnych, opłacalnych rozwiązaniach. Wszak Kanał zamarza i nawet biorąc pod uwagę, że ocieplenie klimatu działa na korzyść pomysłodawców, przez 2-3 miesiące w roku przeprawa nie będzie możliwa. Co zatem zrobią mieszkańcy kilkudziesięciu „Regat” w grudniu i styczniu? Pójdą na urlop?

Po drugie wątpliwości budzi matematyka. Tramwaj zabierze więcej ludzi, ale popłynie znacz-

nie wolniej niż wodoloty. Te ostatnie mają potrzebować ponad 15 minut na dowieszenie mieszkańców Kobiałki do Żerania i powrót. Oznacza to, że w ciągu godziny zrobią 3-4 kursy. Jeden wodolot może zabrać 20 osób. Na przetransportowanie 1000 osób (tylko osiedle „Regaty”, a gdzie pozostałe – Szamocin, Tomaszew, Kobiałka, Ruskowy Brud, Marywilska...?) potrzeba przy planowanych dwóch wodłotach prawie 7 godzin. Aby dotrzeć do pracy na ósmą pierwsii chętni powinni wyruszyć o trzeciej w nocy...

Po trzecie nie wiemy, ile będzie kosztował bilet. Mówi się nawet o



kwocie 7 złotych. Dwukrotna codzienna przejażdżka może okazać się zabójczą dla domowego budżetu. Rozwiązanie ma sens tylko wtedy, gdy armator będzie honorował bilety komunikacji miejskiej. Niewykluczone, że burmistrz wynegocjuje w mieście stosowne dopłaty i mieszkańcy co rano nie sięgną do kieszeni. Wszak przyszłoroczne wybory samorządowe wymuszają jakikolwiek sukces obecnej koalicji. Choćby miał drogo kosztować – musi być!

A park&ride?

Ale w takiej sytuacji paradoksalnie za tańsze rejsy zapłacą więcej wszyscy podatnicy. Co prawda wolę tego rodzaju inwestycje niż marnotrawienie środków na dofinansowanie prywatnego stadionu czy gazetkę „Czas Białoleki”. Żeby się jednak nie okazało, że za pieniądze, które miasto wyda na dofinansowanie wodłotów w perspektywie dwóch lat można by wybudować dwa parkingi

park&ride – ogromnie potrzebne na Białolece, np. przy ratuszu albo nieopodal stacji kolejowej w Choszczówce, gdzie niebawem uruchomiona zostanie szybka kolej miejska. Jeśli Zarząd dzielnicy o takowy nie zadba, SKM-ka zostanie pusta. Ostatni „Czas Białoleki” donosi, że burmistrzowie dopiero teraz zamierzają negocjować uruchomienie linii autobusowych, które dowiozą mieszkańców Czajki, Buchnika, Dąbrówki, Plud do stacji kolejowej. Rychło w czas. Jak na razie dotarcie tam z ulicy Milenijnej, Czeremchowej, Żiżki czy Łąkowej to perspektywa 10-minutowej jazdy 133 i 15-minutowego spaceru.

Skoro władze taką sympatią pałają do Kanału Żerańskiego, to może czas pomyśleć o zdobyciu środków na jego rewitalizację? Targówkowi, który posiada znacznie mniej atrakcyjny Kanał Bródnowski udało się pozyskać 30 milionów na jego rekreacyjne wykorzystanie.

Ufam, że zdrowy rozsądek zwycięży, a moje wątpliwości znajdą racjonalne rozstrzygnięcie. I to nie na zasadzie pokazania siły władzy, jak to miało niedawno miejsce przed urzędem dzielnicy, kiedy kierowców, chcących korzystać z komunikacji miejskiej, przegonił szlabanem, nie proponując nic w zamian. Oby szlaban nie stał się jedynym pomnikiem obecnej kadencji!

Bartek Włodkowski



*Bartek Włodkowski,
radny dzielnicy („Gospodarność”),
szef Fundacji AVE*

SUSHI GO

Legionowo ul. Warszawska 59 lok. 12
tel. 22 774 02 74

Zestaw sushi już od 19 pln.

Dostawa na telefon na terenie Białoleki GRATIS!
Możliwość płatności kartą przy dostawie!

Menu na www.sushi-go.pl

Białoleka dla rowerów!



INTERWENCJE



UWIĘZIENI ROWERZYŚCI!

Dzięki staraniom Zarządu Miejskich Inwestycji Drogowych nie można bezpiecznie wyjechać rowerem z Białoleki. Zamknięto bowiem drogę rowerową na przebudowywanym wiadukcie nad Kanałem Żerańskim w ciągu ulicy Modlińskiej. Po zbudowaniu Mostu Północnego sytuacja też się znacząco nie poprawi, bo droga dla rowerów urwie się pomiędzy ulicą Marymoncką a węzłem Młociny.



Sytuacja na Modlińskiej – trochę historii

Na Modlińskiej rowerzyści nie zostali w ogóle uwzględnieni w planie tymczasowej organizacji ruchu. Drogę rowerową po prostu zamknięto, a część wiaduktu, po którym przebiegała, rozebrano. Obecnie powstaje tutaj most dla tramwajów. Wcześniej planowano zbudowanie tymczasowego wiaduktu z zastępczym ciągiem pieszo-rowerowym, ale w ostatniej chwili zrezygnowano z tego – moim zdaniem rozsądnego – rozwiązania. Pewnego dnia w myśl zasady „postawmy znak, a problem zniknie” w poprzek drogi rowerowej i chodnika pojawiły się płoty i barierki, a jednocześnie na jezdni nadal obowiązywał zakaz jazdy rowerem.

W czerwcu, po medialnym nagłośnieniu tematu (o sprawie pi-

sało m.in. „Echo Białoleckie” i „Aveciarz rowerowy”) zakaz zniknął. Nie rozwiązało to jednak w żaden sposób problemu. W godzinach porannego szczytu, kiedy atrakcyjność roweru ze względu na korki jest największa, w tym miejscu funkcjonuje pas dla autobusów zamknięty dla amatorów dwóch kółek. Aby nie łamać pra-



wa, do godziny 10 rowerzyści powinni jechać środkowym pasem ulicy Modlińskiej, narażając się na poniekąd uzasadnioną złość kierowców i niebezpieczne wyprzedzanie z dwóch stron.

Oczywiście zasadne jest pyta-

nie, ile osób dojeżdża do pracy czy szkoły na rowerze? Nawet jeśli są to obecnie jednostki, nie można akceptować sytuacji, kiedy w XXI wieku w europejskiej stolicy przy tworzeniu infrastruktury po prostu zapomina się o rowerzystach. A że nie są to odosobnione przypadki świadczy chociażby fakt, że w projekcie wiaduktu nad przejazdem kolejowym w Płudach nie zaplanowano ścieżki rowerowej. Takie „przeoczenia” nie sprzyjają zmianie nawyków, tworzeniu właściwej atmosfery społecznej dla powszechnego korzystania z dwóch kółek, ni- jak mają się też do zachodnich standardów.

Dla kogo droga rowerowa?

Po wybudowaniu nowych wiaduktów przy Modlińskiej sytuacja ulegnie częściowej poprawie. Plusem jest to, że po stronie elektrociepłowni powstanie ścieżka asfaltowa. Ale już z drugiej strony ulicy ciąg pieszo-rowerowy zbudowany zostanie z kostki ze względu na przebiegające pod nim instalacje podziem-

ne. Tymczasem każdy podmiot, który posiada instalacje podziemne, zgodnie z przepisami prawa musi być (i jest) technicznie przygotowany do ich napraw i konserwacji także pod nawierzchniami asfaltowymi. Decyzja o budowaniu ścieżki z nietrwałej i niebezpiecznej kostki (pisaaliśmy o tym wielokrotnie na łamach „Aveciarza” – przyp. red.), wbrew obowiązującemu rozporządzeniu Prezydenta m.st. Warszawy pozostaje niezrozumiała. Warto zaznaczyć, że ZMID nie otrzymał zgody Wydziału Transportu Rowerowego i Komunikacji Pieszej Biura Drogownictwa i Komunikacji na odstępstwo od wymogu zastosowania nawierzchni asfaltowej. Ale najwyraźniej instytucja ta rządzi się swoimi prawami, a droga rowerowa ma przede wszystkim służyć administratorom instalacji podziemnych i tylko przy okazji -rowerzystom...

Mostem Północnym do... ni- kąd?

Przy projektowaniu trasy Mostu Północnego ZMID koncentruje się przede wszystkim na tym, aby coś zrobić, ale się zanadto nie narobić. W związku z tym uparcie forsuje projekt w którym nie będzie drogi rowerowej pomiędzy ul. Marymoncką a węzłem Młociny, co utrudni i wydłuży dojazd do stacji metra Młociny oraz zmniejszy dostępność węzła prze-

siadkowego i zlokalizowanego przy nim parkingu rowerowego Bike&Ride. Kuriozum w czystej postaci!

Wydeptujemy sobie ścieżki

Zarówno w sprawie wiaduktów przy ulicy Modlińskiej, jak i ścieżki rowerowej na trasie Mostu Północnego cały czas trwa wymiana pism z urzędnikami. Liczymy, że ostatecznie potrzeby rowerzystów zostaną uwzględnione! Zapraszamy do współdziałania! Spotykamy się na rowerach w ostatni piątek każdego miesiąca u zbiegu ulic Konwaliowej i Modlińskiej, skąd o 17.20 ruszamy w kierunku Placu Zamkowego, aby wziąć udział w Warszawskiej Masie Krytycznej.

Grzegorz Romanik

www.bialoleka.masa.waw.pl



Grzegorz Romanik, pochodzi z Tarchomina, działa w stowarzyszeniu „Zielone Mazowsze”, organizator Warszawskiej Masy Krytycznej, student Szkoły Głównej Służby Pożar- niczej. Rowerem jeździ do szkoły i pracy oraz na wakacje.

PLAC ZABAW CZY PLAC BUDOWY?

Budowa bardzo wyczekiwanej przez młodych ludzi parku i placu zabaw (w tym trasy dla deskorolek!) przy ulicy Ceramicznej na Tarchominie de facto stoi pod znakiem zapytania. Wszystko zależy od tego, czy znajdzie się wykonawca pierwszego etapu, który w ciągu półtora miesiąca wykona prace za prawie milion złotych. Docelowy wygląd parku zobaczymy dopiero... w 2013 roku.

Przypomnijmy: najpierw była wielka radość, gdy w ubiegłym roku okazało się, że ta bardzo potrzebna inwestycja powstanie w 2009 roku. Później, kiedy brakowało pieniędzy na bieżące wydatki w oświacie, burmistrzowie przebąkaliwali o możliwości rezygnacji z budowy. Interweniowaliśmy wówczas na łamach „Aveciarza”. Ostatecznie tytuł inwestycyjny udało się zachować.

W ubiegłym roku za kwotę 80 000 zł oczyszczono teren przyszłego parku i przygotowano pod realizację. W tym roku za 2 300 000 zł miał powstać park, plac zabaw, trasy dla deskorolek i rowerów. I chociaż pieniądze na ten cel były zarezerwowane

w budżecie dzielnicy od początku roku, przetarg ogłoszono dopiero we wrześniu, kiedy środki stopniały o ponad milion złotych! W czasie wakacji bowiem tę inwestycję, podobnie jak wiele innych, dotknęły cięcia, związane z kryzysem i akcją szukania przez miasto oszczędności.

5 lat zabawy w budowę

W efekcie park będzie budowany przez... pięć lat. Czas absurdalny. Co więcej urzędnicy zaplanowali kolejne etapy czysto matematycznie, nie określając co w ramach kwot przeznaczonych na dany rok zostanie wykonane. Niewykluczone zatem, że w kolejnych latach okaże się, iż park

będzie trzeba czasowo zamknąć, aby wykonać następny etap prac (oświetlenie, ogrodzenie itd.). Znając polskie realia za 5 lat ów park i plac zabaw i budowy jednocześnie będzie nadawał się do kapitalnego remontu.

A można było inaczej. Nawet jeśli cięcia musiały dotknąć obecny rok budżetowy, wystarczyło przesunąć w czasie budowę Centrum Multimedialnego. Ta inwestycja ma kosztować dzielnicę ponad 20 milionów. Wydłużenie jej realizacji o rok nie miałooby w praktyce żadnego znaczenia. O ile bowiem na przykład w 2010 roku podatnicy zapłacą za nią 700 000 zł, to i tak efekty zobaczymy dopiero w okolicach roku 2020! A do tego czasu wiele może się zmienić i niewykluczone, że bardzo drogie plany okażą się nieaktualne.

Szukamy wykonawcy

Wspomniany wcześniej wrześniowy przetarg nie został rozstrzygnięty. Wszystkie oferty by-



ły zbyt drogie. Obecnie ogłoszono drugi, w którym oferty można składać do końca października. Wykonawca na realizację placu zabaw, tras dla deskorolek i ścieżek rowerowych dostanie zaledwie półtora miesiąca. Zgodnie ze specyfikacją przetargową odbiór musi nastąpić 15 grudnia br. Jeśli się nie uda – pieniądze przepadną, z parku nici, a mieszkańcy osiedli przy Ceramicznej, Milenijnej, Ćmielowskiej, Kamińskiego... pozostaną na lodzie (bez lodowiska rzecz jasna).

Jaka rada? Chyba tylko mo-

dlitwa w intencji znalezienia wykonawcy. I większej efektywności białoleckiego ratusza w wydawaniu przyznanych nam przez miasto pieniędzy. Okazuje się wbrew temu, co słyszymy w mediach, że kasa jest, potrzeba jedynie specjalistów, którzy potrafią ją efektywnie zamienić na dobro wspólne. Amen.

Łazik parkowy

Marcinowi Ferfetowi z okazji 18. urodzin najlepsze życzenia składają Przyjaciele z Redakcji „Aveciarza”

OPINIE

POLITYCZNY PRZEWODNIK ROWEROWY?

Swego czasu popełniłem w „Aveciarzu” tekst pt. „Promocja na odwrót”, w którym wyrażałem swoje obiektywne opinie dotyczące sposobów promowania przez urząd dzielnicy. I napytałem sobie biedy. Wydział Promocji i Komunikacji Społecznej chyba się na mnie obraził.

Takie przynajmniej odnoszę wrażenie. Od prawie roku bowiem na stronach urzędu nie pojawiają się żadne informacje o projektach realizowanych przez Fundację AVE na rzecz mieszkańców. Dziwi to, ponieważ niektóre z nich są dofinansowywane przez miasto w ramach otwartych konkursów ofert. Podobny problem zgłaszają niektóre organizacje III sektora skupione w Dzielnicowej Komisji Dialogu Społecznego.

Rozumiem, że urząd ma prawo do selekcji nadsyłanych newsów i kształtowania własnej polityki informacyjnej. Rozmawiałem ostatnio o tej sprawie z burmistrzem Jackiem Kaznowskim, który obiecał przyjrzeć się problemowi, zaznaczając jednocześnie, że urząd musi dbać o apolityczność publikowanych informacji. Nie pojmuję, jakim cudem Juwenalia III Wieku, konkurs recytatorski ks. Twardowskiego, powstańczy splot kajakowy czy ostatnio wydany przewodnik „Białoleka rowerowa” mogą być „politycznie niepoprawne”? Zwłaszcza, że na nowym portalu internetowym dzielnicy zarezerwowano znaczący przestrzeń dla III sektora, która jest bodaj najmniej żywym działem i to nie z winy organizacji pozarządowych.

Dodajmy, że jednocześnie nakłady finansowe na promocję wciąż rosną. Urząd ma rzecznika, własną gazetę, która kosztuje podatników ponad 100 000 zł rocznie, nową stronę www, wydawnictwa informujące o inwestycjach, system informacji elektronicznej... To wszystko ma sens, jeśli autentycznie służy lokalnej społeczności a nie realizowaniu partykularnych interesów lub kreowaniu wymyślanego obrazu świata. Zastanawiam się, o czym będzie pisać „Czas Białoleki” jeśli zapowiadane kolosalne cięcia budżetowe wejdą w życie?

W dzielnicy, która ma tak ogromny potencjał i zapotrzebowanie jak Białoleka, organizacje

III sektora powinny być traktowane ze szczególną uwagą. Mogą bowiem wypełnić istotną lukę w zakresie oferty edukacyjnej, kulturalnej, sportowo-rekreacyjnej czy pomocy społecznej, nie mówiąc o bardzo ważnej kwestii integracji mieszkańców. W innych dzielnicach dialog autentycznie się rozwija. Na przykład na Ochocie delegowano jednego urzędnika do animowania tego rodzaju działalności. Organizacje związane z tamtym urzędem otrzymują raz w tygodniu (!) newslettery o akcjach, konkursach, możliwościach pozyskania grantów nie tylko w programach dzielnicowych czy miejskich. Sam urząd wychodzi z inicjatywami w zakresie promowania III sektora, akcji 1 %, dopytuje o prowadzone działania dla mieszkańców, koordynuje współpracę – tradycją są wspólne pikniki, przedsięwzięcia społeczne, informator... U nas – udaje się, że pewne dziedziny życia po prostu nie istnieją.

Myślę, że dotykamy tutaj rzeczy znacznie głębszej, aniżeli banalne opublikowanie jednego newsa więcej. Chodzi o sposób traktowania III sektora i w ogóle obywateli. Nie jest przecież celem samorządu autopromocja. Białoleka potrzeba gospodarza, który nie tylko będzie miał wielkie wizje, ale stworzy – nomen omen – obywatelską platformę dla coraz bardziej twórczej i pędzącej społeczności.

Jeden przykład z wielu. Mieszkańcy ulicy Fortel w sercu osiedla Wiśniewo od kilku lat interweniują w sprawie budowy drogi. I pomimo, że wielu z nich mieszka tutaj od dziesiątek lat, dopiero niedawno udało się radnym skierować wniosek do Rady Warszawy o umieszczenie ich ulicy w WPI (nota bene który nie zyskał poparcia miejskich rajców). Sytuacja jakich wiele, w obliczu skąpych środków na inwestycje, trudno zaspokoić nawet najpil-



niejsze potrzeby. Niedawno miało mieć miejsce doroczne równanie ulicy. Kiedy zajmująca się nim firma po zakończeniu prac w okolicy przeniosła maszyny do innej części dzielnicy, zaniepokojeni mieszkańcy pofatygowali się do urzędu z pytaniem o termin wykonania pracy; inni telefonowali. Nie mogli uzyskać żadnych konkretów. Dopiero moja interwencja sprawiła, że wykonano telefon do wykonawcy robót i w ciągu minuty okazało się, że ulica będzie równana za trzy dni. Czy nie można było zadzwonić po pierwszym pytaniu mieszkańca tego poranka?

Podkreślam – nie chodzi mi o jakikolwiek złośliwości czy co gorsza piętnowanie urzędników; to kwestia standardów, do których wciąż warto dążyć... No a poza tym – każdy wie: z urzędnikami trzeba grzecznie. Dlatego kupię czekoladki na zgodę i w poniedziałek pójde do Wydziału Promocji. Z burmistrzem ustaliłem, że mamy współpracować przy tworzeniu internetowego Muzeum Białoleki. Trzymajcie Państwo kciuki!

Z ostatniej chwili: zmiany wchodzą w życie. Informacje o festiwalu rockowym opublikowano, choć zadbano, aby nie zaistniała jak wszystkie inne na stronie głównej. Dobre i to. Natomiast w „Czasie Białoleki” miejsca na relację zabrakło, chociaż imprezę współfinansował Wydział Kultury i wszystkimi innymi projektami dotowanymi z tej puli urząd się chwalił. Czepiam się?

Bartek Włodkowski

ZAMIAST PRZEMOCY

Stowarzyszenie „Dialog-Edukacja-Rozwój” zaprasza gimnazjalistów na spotkania „Grupy Rozwojowej dla Młodzieży”, realizowane w Gimnazjum Nr 121 przy ulicy Płużnickiej 4 w ramach projektu „Dialog zamiast przemocy”. Zajęcia pomogą lepiej dogadywać się z innymi, rozwiązywać konflikty w domu i szkole, radzić sobie ze stresem i złością. Zapisy pod numerem telefonu: 226148870.



SPYTAJ SPYTKA

Zauważyłem, że nic nie jest tak owocne w inspiracje i pomysły jak godzinna podróż środkiem komunikacji miejskiej w samotności. Jakież to otwiera możliwości!

Człowiek otoczony innymi ludźmi – to mężczyzną w stanie upojenia, to tęgą niewiastą wiskającą się na wolne miejsce koło niego, czy przyjaciółkami, które wzajemnie zdają sobie relacje z efektu użycia świeżo zakupionego szamponu do włosów blond. Tam ja – sam, choć w otoczeniu innych – ostatnio byłem świadkiem ciekawego zjawiska nazwanego ulic przez administrację publiczną.

Podążam (jak już wiadomo) autobusem, szczyt drżą, fotele drżą (nie ma to jak darmowy masaż odchudzający pośladki!), sufit sprawia dziwne wrażenie, jakby chciał a nie mógł utrzymać się na swoim miejscu. Takim to pojazdem i w takim to otoczeniu jadę ulicą Radzywińską. Mijam duży market z asortymentem budowlanym, a tuż za nim swoim czujnym okiem obserwatora dostrzegam skromną, piaszczystą uliczkę wiodącą pod las i jeden dom w stanie surowym do niej przynależący.

Ulica została ochrzczona imieniem „Spytka z Melsztyna”. Wszystko pięknie, ale kto to był ten Spytko, Spyttek? Jak to się w ogóle odmienia?! Po powrocie do domu, postanowiłem to sprawdzić. Uznałem, że najłatwiej będzie wynalazku nowoczesności (nie licząc kuchenki mikrofalowej

i lokówki), czyli internetu. Otwieram Google, wpisuję i znowu pojawia się pytanie: „Jak to zapisać w mianowniku?”. Uznałem, że wpiszę frazę „Spytka z Melsztyna”. Błąd! Wikipedia poprawia moje braki wiedzy, gdyż poprawna forma to Spytko z Melsztyna.

Jest! Tak! Radujcie się wszystkimie! Spytko z Melsztyna! O dziwo, Spytko (a właściwie, jak podaje Wikipedia, Spycimir) urodził się w Melsztynie! Tu śmiało mogłem stwierdzić, że dorównuję wiedzą internetowej encyklopedii.

Ale na tym nie koniec. Okazuje się bowiem, że Spytków było czterech! Jeden jest ojcem drugiego itd. W takim razie który Spyt-

ko patronuje wspomnianej uliczce na Zaciszu? Czyją notkę biograficzną mam czytać? Który z nich może być TYM właśnie, jedynym w swoim rodzaju Spytkiem?! Ku mojej zgubie jest tylko jeden Melsztyn, przynajmniej o tym jednym mówi Wikipedia, i wszyscy czterej z tego samego pochodzą!

Wniosek: nigdy więcej nie siadać przy oknie i nie starać się dociec źródeł pomysłów urzędników administracji dowolnego szczebla!

Kamil Hyska



Uczę się w LO im. Ruy Barbosy, zajmuję się pisa-

KOMIKSOWO SUBKULTURO



Rys. Marja Kowalska

Moja mała MURZYNECZKA

Od dawna spotygam się z rasizmem u ludzi. Zaczęłam więc się zastanawiać, co mogłabym zrobić, aby zmienić bezpodstawne negatywne nastawienie do osób o innym kolorze skóry.

Może dziwnie to brzmi w ustach szesnastolatki, kiedy mówi, że chce mieć dziecko. Jednak tak właśnie jest w moim przypadku. Oczywiście – precyzuję – dopiero za parę lat, tym niemniej bardzo chciałabym być mamą pomimo tego, że przeraża mnie myśl o porodzie. Zastanawiacie się pewnie jednak, jak to ma się do tytułowej Murzyneczki? Otóż mam ciche, duże marzenie, żeby zaadoptować małą Murzynkę!

Kiedy powiedziałam o tym moim znajomym niektórzy mówili, że może się to spotkać ze społeczną dezaprobatą. Ludzie są różni, a plotki cieszą się ogromną popularnością. Jak to będzie wyglądało? Biała mama, biały tata i... czarne dziecko! Może jakaś zdrada podczas gorących wakacji? Może żona szukała egzotycznego partnera zamiast wielkomięskiego biznesmana? A ja się tym wcale nie przejmuję! Chcę po prostu pomóc dziecku z Afryki i jednocześnie w mikroskali przełamywać stereotypy. Osoby, które chcą kogoś wesprzeć, nie mają powodów by się ukrywać! A ludzie niech mówią co chcą!

Na pewno zagraniczna adopcja nie jest tak łatwa, jakby mogło się



wydawać młodym ludziom. Zdaję sobie sprawę z tego, że nie będzie jak w sklepie z lalkami: wchodzę i biorę, którą chcę. Wiem także, że w czasie, kiedy zgłoszę się do adopcji może nie być dziecka o czarnym kolorze skóry, które tak bardzo pragnę mieć... Jednak to mnie nie zraża: tak naprawdę zaadoptuję każde dziecko, które będzie potrzebowało miłości, a ja będę miała zaszczyt je kochać, wychowywać i traktować jak swoje własne. Zamierzam też powiedzieć dziecku, które przyjmę pod swój dach, że nie jestem jego biologiczną mamą. Myślę, że ma ono prawo do takiej wiedzy.

Wiele osób, którym wyjawiałam swoje marzenie, pytało mnie: „dlaczego akurat Murzynka”? I skąd się wzięło u szesnastolatki takie marzenie? A co z marzeniami o karierze i księżu z bajki? Może rzeczywiście coś ze mną nie tak? A może po prostu mam całkiem duże serce...

Ania Kolazińska

Od września uczy się w Liceum im. S. Czarnieckiego, mieszka w Wiśniewie



ILE WYPIĆ? (2)

We poprzednim numerze „Aveciarza” rozpoczęliśmy cykl o picu alkoholu przez młodzież. Tekst wywołał szerokie zainteresowanie Czytelników, dotarły do nas bardzo różne opinie. Cieszymy się z tej dyskusji i liczymy na kolejne głosy. Możecie także pisać na naszej stronie www.aveciarz.pl. Tymczasem publikujemy kolejną dawkę „alkoholowych wspomnień”.



Czy wiecie, co oznacza słowo „paw”? Nazwę pięknego, królewskiego ptaka oraz pewnej dość popularnej na „fajnych” imprezach czynności. Na wzór jego rozłożystego ogona pijana młodzież wypuszcza ze swych ust zawartość swojego żołądka. To jest jak najbardziej na miejscu, zmysłowa reakcja obronna organizmu, którą można także „zabawnie” wykorzystać. Są zawody, kto dalej „pawia” wypuści. Można zrobić z ust fontannę „bez połyku”. Można wypuszczać go w najprzeróżniejsze miejsca. Ostatnio ktoś z moich znajomych był ciekawy reakcji rybek na swoje wymiociny. Innym razem imprezowicze denerwowali sąsiadów i puszczała pawie przez balkon (z szóstego piętra). Pewnego razu „szalonej lasec x” wypnęło się w usta „szalonego pana y”. Chłopak, ku zdziwieniu niektórych wytrawnych imprezowiczów, z obrzydzenia zerwał z panną x. „Jakże to? Przecież to najzupełniej normalne na imprezach!” – bronili tej, która mu do ust puściła pawia.

Zażenowana

Nie powiem kto. Nie powiem gdzie i z kim. Sytuacja ta była całkowicie poza kontrolą i co najgorsze mogła się zdarzyć dosłownie wszędzie. On był prawiczkim. Nie chcę sakralizować tego stanu. Jednak skoro nie zrobił tego do tej pory, oznacza, że czekał na coś donioślejszego. Ona była napaloną dziewczyną. Miała gdzieś uczucia innych. Liczyła się jedynie zabawa. Istny hedonizm zastawiający za sobą trupy. Główny podejrzany – alkohol. Nie zachęcił smakiem, ale efektem. To było jedyne, co tak naprawdę mógł sobą zaoferować. Nie zastrzegł, że reklamacje mogą być jedynie skargą leczącego skutki wypicia. I nigdy nie zostaną wysłuchane. Ta bezimienna trójka nawiązała intensywny romans. Oczywiście skończyli w łóżku. Ona była szczęśliwa. Niczego więcej nie pragnęła. On – ocknął się nagle. Zobaczył ją na sobie i... chciał przestać. Próbował ją z siebie zepchnąć, ale cokolwiek powiedział... Nie dała mu szans. Zdzieliła go po głowie tak, że znowu stracił przytomność. Obudził się sam. Co stracił? Dziewicत्व. Szacunek. Poczucie kontroli nad własnym życiem. Pewność siebie. I... pewnie jeszcze długo można by wymieniać. Jednak pytanie, co zyskał, długo pozostanie

dla mnie zagadką.

Obserwatorka

Z serii: „przydarzyło się po kilku głębszych”. Siedzimy sobie w pubie. Kanapa na lekkim podwyższeniu, dlatego żeby się na nią dostać, należy pokonać niewysoki (acz zawsze) schodek. Koleżanka po dwóch piwach do mnie, pytającej czemu nie tańczy: „Wszystko byłoby OK, gdyby nie ten cholerny schodek!”. Innym razem dziewczyna zapytana o to, jak jej się podoba impreza, skutkiem niewielkiego stężenia we krwi odpowiedziała mi, iż był to „czajny fas!”. No, ale niektórym nawet na trzeźwo płacze się język. Inna historia: osiemnaste urodziny kolegi z klasy. Jego ówczesna dziewczyna, a moja dobra znajoma, chwając się i błądząc wzrokiem podchodzi do mnie. W rękę trzyma butelkę, na której dnie pozostał mniej więcej łyk wina. Zwraca się do mnie: „Kochana, ja muszę to wypić, ale powiem ci szczerze: już nie mam siły”. W geście sympatii proponuję, że zrobię to za nią, ta jednak po rosyjsku(!) tłumaczy mi, iż „obiecała mamie swojego chłopaka”, że wypije całą butelkę sama! Wniosek: kobiety zawsze upijają się „na wesoło”.

Wesoła

NA PROBLEMY... FRYZZJERKA!

Nie trzeba wcale piastować wysokiego urzędu, aby robić coś dobrego, zmieniać na lepsze życie innych, a nawet dla wielu stać się niezapomnianym do końca życia bohaterem! Choć brzmi to banalnie - wystarczą dobre chęci, zapał i cierpliwość.

Oto pani Jola – jak sama mówi o sobie: „fryzjer-historia”. W zawodzie pracuje od czterdziestu pięciu lat i obecnie jest właścicielką niewielkiego salonu przy ulicy Ziółowej na Białołęce, trzeciego w jej karierze. Krótkie blond włosy, niezbyt wysoka, patrzy na świat z radością i optymizmem. Jednak nie na tym polega jej wyjątkowość. Wyróżnia ją wielkie serce i szczerą chęć pomocy. Myślę, że bez przesady zasługuje na miano dobroczyńcy młodzieży. Od wielu lat pomaga młodym ludziom, którzy jako uczniowie trafiają do jej zakładu. Nie tylko uczy zawodu. Słucha, pomaga w rozwiązywaniu problemów, niejednokrotnie wyprawdza na prostą...

– Wiadomo, młodzież pochodzi z różnych środowisk i czasami potrzebuje pomocnej dłoni przy wchodzeniu w dorosłe życie – opowiada pani Jola. – Po prostu otwieram dla nich swoje serce, interesuję się życiem prywatnym, służę radą i pomagam jak mogę. To nic wielkiego... Trafia mi się różna młodzież, bardzo często żyjąca w niedostatku. Z tego powodu brakuje jej poczucia własnej wartości. Staram się wtedy stworzyć swoistą „atmosferę równości”, pokazać takim ludziom, że są wariaci więcej, niż im się wydaje i że w żadnym wypadku nie są gorsi od innych!

Są też uczniowie pokrzywdzeni przez sytuacje losowe, rodzinne, biedę, brak możliwości kształce-

nia. Zdarza się, że do pani Joli trafia też ktoś z tzw. „marginesu społecznego”, młodzież uzależniona od narkotyków czy alkoholu. – Jestem przekonana, że to nie przypadek, że dana osoba odbywa praktyki w moim zakładzie... – mówi z troską. Podopieczni twierdzą, że pani Jola jest dla nich drugą matką, uczy wywiązywania się z obowiązków, utrzymania porządku, praktycznego podejścia do życia, gospodarności. Często pomaga pokonywać bariery w relacjach międzyludzkich, a nawet wyprowadza z depresji.

– Jednej z moich uczennic wyraźnie brakowało wsparcia ze strony rodziny, co stwarzało

u niej wielkie trudności emocjonalne, choćby z nawiązaniem kontaktu z klientami. Spotkałam się więc z jej mamą, żeby porozmawiać o problemie, zaproponować inny zawód, w którym córka czułaby się lepiej, ale niestety skończyło się tylko na zerwaniu mi braku sympatii dla dziewczyny. Nie poddałam się i cierpliwie szukałam pomocy, tym razem u psychologa. Jakiś czas później moja podopieczna zdała egzamin, zdobyła dobrą pracę i osiągnęła sukces – teraz sama uczy młodych praktykantów we własnym zakładzie fryzjerskim! Pomoc tej dziewczynie dała mi ogromną satysfakcję, zwłaszcza że do dziś odwiedza mnie i dziękuje za okazane serce.

Dobre serce pani Joli nie ogranicza się tylko do uczniów. Wchodząc do salonu omal nie potknęłam się o stojące przed drzwiami worki z ubraniami zbieranymi dla domu opieki spo-

łecznej. Pani Jola, jak sama mówi, lubi „łączyć przyjemne z pożytecznym”, niejednokrotnie więc wysyłała swoje uczennice, aby za darmo świadczyły fryzjerskie usługi podopiecznym tej placówki.

Nie wszyscy uczniowie (rozpiętość wiekowa od 16. do 18. lat) od razu odnajdywali w pani Joli bratnią duszę i doceniali jej troskę. – Kiedyś trafił mi się chłopak zamieszany w jakieś afery narkotykowe. Tłumaczyłam mu uparcie, że popełnia błąd, że dawanie komuś narkotyków to takie stopniowo podrywanie gardła. Bardzo irytowało go moje ciągle gadanie i w końcu powiedział mi, że nie mam po co się wysilać, bo całego świata i tak nie uzdrowię... Ale nawet ci niepokorni wracają po latach i dziękują za wsparcie i wskazówki! Wiem, że nie zbawię całego świata. Ale staram się go choć trochę oswoić! Nie potrafię być obojętna.

Magda Zarzycka



Licealistka, narcziarka, mieszka na Marcelinie



RELACJA

Dobre ROCK-owanie!

Żywiolowa atmosfera towarzyszyła koncertom finałowym IV Ogólnopolskiego Festiwalu Garażowych Zespołów Rockowych, organizowanym 3 i 4 X br. przez Fundację AVE i Białołęcki Ośrodek Kultury przy wsparciu Wydziału Kultury Dzielnicy Białołęka oraz Zarządu Województwa Mazowieckiego. Szczelnie wypełniona sala BOK-u wprost kipiała pozytywną energią.

Prawie trzystuosobową publikę najpierw zagrzewała białołęcka kapela Daddy and The Diving Beavers, a następnie autentycznie rozpalili białoruski zespół D_Tails, laureat nagrody grand prix podczas ubiegłorocznej edycji; na życzenie publiczności artyści dwukrotnie bisowali. Ogłoszenie werdyktu poprzedziły owacje, jakie uczestnicy festiwalu zgotowali organizatorom – Sylwii Młotkowskiej, inicjatorce „Dobrej Strony Rocka”, Fundacji AVE, kilkudziesięciu wolontariuszom oraz dyrektorowi Tomaszowi Służewskiemu.

Podkreślano znakomitą organizację imprezy. – Jeździmy na festiwalach w całej Polsce, ale nigdzie nie spotkaliśmy się z tak ciepłą atmosferą i perfekcyjnym przygotowaniem. Wszystko dopięte na ostatni guzik, do tego bardzo fajne koszulki „Dobrze ROCK-uję!”, profesjonalne programy festiwalowe... Tak trzymać! – mówią członkowie kapeli z Łodzi. – Wasz festiwal to naprawdę udana impreza i bardzo znana, cenniona marka na „przeglądowej” mapie Polski. W każdym calu pełen profesjonalizm – jury, nagłośnienie, foldery, koszulki, media... Jak Wam się udaje sprawić, żeby to wszystko razem, nomen omen, grało? – Maciej Tkaczyk z zespołu „Nitrocaina”. Paweł Izdebski dodaje: – Organizacja na najwyższym poziomie, rewelacyjna atmosfera, sprawni wolontariusze i mnóstwo ludzi z pozytywną energią!

O dziwo nic nie zniszczyli!

– To, co mnie najbardziej cieszy, to fakt, że poziom festiwalu wciąż wzrasta – mówi Zbyszek Żak, multiinstrumentalista, juror, towarzyszący „Dobrej stronie rocka” od trzech lat. – Z roku na rok impreza przyciąga coraz lepsze zespoły. Jesteśmy świadkami narodzin bardzo ważnej, liczącej się imprezy w skali ogólnopolskiej. Zwłaszcza, że w tym roku obok zespołów warszawskich i białołęckich (piętnastu reprezentantów dzielnicy!) pojawiło się



bardzo dużo znakomitych kapel z najdalszych zakątków Polski. Poza tym ci, którzy jako nastolatki grali w pierwszych edycjach, teraz przyjeżdżają już z innymi formacjami – coraz bardziej dojrzałymi muzycznie; widać ich rozwój!

Bartek Włodkowski, szef Fundacji AVE: – Festiwalowi wciąż towarzyszą obawy wielu osób: pytano nas wielokrotnie, czy tego rodzaju impreza nie jest wywoływaniem wilka z lasu, czy nie kumuluje złej energii? Takie myślenie pokazuje, że cały czas o muzykach rockowych myślimy stereotypowo. Tymczasem przez 2 dni trwania festiwalu nic złego się nie stało. Pomimo udziału rekordowej liczby wykonawców i publiczności żadna toaleta nie została zniszczona, żadne drzewo wyrwane, żadna szyba wybita... „Dobra Strona Rocka” przyciąga ludzi wartościowych, pełnych pasji, którzy świadomie chcą się rozwijać. Nie szukają inspiracji w narkotykach czy alkoholu. Dodajmy, że jest to kolejny argument na absurdalność zarzutów byłej dyrektorki Zespołu Szkół przy Van Gogha p. Mierzwicy, które pojawiały się w latach poprzednich.

Koszalin na topie

Łącznie przesłuchania konkursowe trwały ponad 17 godzin. Prezentacji 44 kapel z całej Polski (Koszalin, Łódź, Kamienna Góra, Słupsk, Jasło i in.) i Białorusi słuchali jurorzy – obok Zbyszka Żaka – Marcin Stefański oraz Tomasz Lubert. Z godziny na godzinę przybywało też publikę – nie

tylko młodych mieszkańców Białołęki (od kilkunastu osób w godzinach rannych do ponad trzystu w niedzielne popołudnie). Pierwszego dnia impreza odbywała się dzięki gościnności i życzliwości p. dyrektor Wandy Walkowiak w sali gimnastycznej Gimnazjum Nr 121 przy ul. Płużnickiej. W niedzielę na scenie BOK. Łącznie wystąpiło 210 osób, a koncertów wysłuchało około 600.

Nagroda główna festiwalu pojechała do Koszalina z zespołem „Lipa z Miodem”. Pierwszego miejsca nie przyznano, natomiast drugim nagrodzono aż trzy warszawskie zespoły: „FUNKTOR”, „WHOCARES?” (przedstawiciele Białołęki!) i „FLAMBER”. Trzecia nagroda ex aequo przypadała w udziale kapelom „COLORPOLENERVE” oraz „WILD SPIRIT” z Ostrołęki. Ponadto wyróżniono basistę zespołu „AUTOMAT” Piotra Kaniewskiego i wokalistę kapeli „POST SCRIPTUM” z Kamiennej Góry Wojciecha Hatlasia. Nagrodę specjalną za klimat występu otrzymał Paweł Izdebski.

Bez burmistrza

Szkoda, że po raz pierwszy w historii festiwalu na finale nie zjawił się burmistrz dzielnicy Jacek Kaznowski, który towarzyszył imprezie od początku jej istnienia i wielokrotnie podkreślał, że przywiązuje do niej duże znaczenie. Dyrektor Tomasz Służewski zadeklarował wsparcie dla kolejnych odsłon festiwalu i wyraził wielką radość z dynamicznego rozwoju imprezy.

Wśród publikę nie zauważyliśmy też wiceburmistrza Andrzeja Opolskiego, który na forum rady dzielnicy kilka miesięcy temu grzmiał, że Fundacja AVE rzekomo nie zaprasza przedstawicieli samorządu na organizowane przez siebie imprezy (nota bene otwarte dla każdego, również dla burmistrzów czy radnych). Przyznajemy, że pozytywnie zdumiało nas takie żywe zainteresowanie naszymi działaniami, więc ustami Bartka Włodkowskiego i burmistrz i radni zostali zaproszeni na „Dobrą stronę rocka” podczas odbywającej się dwa dni przed festiwalem sesji rady dzielnicy. Cóż, być może panu Opolskiemu chodziło o coś innego...

Marta Ferfet



Marta Ferfet, studentka SGH, mieszka na Tarchominie

MIEWAM MUZYCZNE SNY...

Ola Borycka rozmawia z Tomaszem Lubertem – jurorem IV „Dobrej Strony Rocka”, kompozytorem, gitarzystą, producentem muzycznym, założycielem zespołu „Virgin”, w którym jako wokalistka występowała Doda, twórcą kapeli „Video” i „Volvem”, w przeszłości tenorem wielu chórow, m.in. chóru muzyki cerkiewnej.



– *Podczas finału festiwalu „Dobra strona rocka” mówił Pan, że sam zaczynał w podobny sposób. Jak wyglądała Pańska droga do sukcesu?*

– Zaczynałem jak każdy, właśnie w garażu, w prowizorycznych salach prób, a nawet miałem przez cały rok próby w... kościele. Na sukces składa się wiele czynników, trzeba być konsekwentnym w tym, co się robi, bardzo wierzyć w sukces, no a do tego konieczne są też talent i charyzma. Młodym muzykom doradzam więcej pracy nad jakością, mniej narzekania. Należy oprzeć się na intuicji i dobrym managerze. Poza tym stawiać na melodię i mądre teksty i – co najważniejsze – nie robić niczego na siłę...

– *Jakimi prawami rządzi się według Pana świat showbiznesu?*

– Jest jedno prawo, jak w naturze: prawo dżungli. Przetrwają najsilniejsi, najwytrwalsi i... najbardziej zdesperowani.

– *Jak układała się Pańska współpraca z Dodą? Czy prywatnie pani Dorota jest taka, jak w telewizji albo na scenie, czy to tylko jej medialny wizerunek?*

– Z Dodą jesteśmy przyjaciółmi od lat i nigdy nie spotkałem się, aby kogoś udawała. Jest sobą i dlatego odnosi tak ogromne sukcesy. Oczywiście dysponuje również wspaniałym głosem, który jest fundamentem jej kariery. Nasza współpraca ma się wspaniale, każdy pracuje nad własnym projektem – Doda nad swoją drugą solową płytą, ja nad zespołem „Volvem” i jego debiutancki krążkiem „10 historii o miłości”. Już 30 października zapraszam do sklepów. Na płycie znajduje się cover zespołu „Virgin”, które dedykuję właśnie mojej przyjaciółce.

– *Mieszka Pan na Białołęce. Jak postrzega Pan naszą dzielnicę? Czy to dobre miejsce do rozwoju pasji muzycznych?*

– Białołęka to wspaniałe miejsce! Nie chciałbym mieszkać gdzie indziej. Niezwykle cenię działalność Białołęckiego Ośrodka Kultury. Myślę, że niewiele placówek kultury może poszczycić się tak różnorodnym programem. A festiwal „Dobra strona rocka” to strzał w dziesiątkę! Je-

stem pełen szacunku dla dyrektorki BOK i osób, które tutaj działają.

– *Czym jest dla Pana muzyka? Skąd czerpie Pan inspirację?*

– Od dziecka lubiłem muzykę, ponoć już jako bobasowi zamiast grzechotki mama dawała mi do rączki tamburyn. To nie ja wybrałem muzykę – to ona wybrała mnie. Uważam, że jest to dar i szczęście. Cieszę się, że mogę robić to, co kocham. Słucham bardzo dużo najróżniejszej muzyki. Moją inspiracją może być dosłownie wszystko – ostatnio wolne chwile spędzam na licznych podróżach, dzięki czemu mam styczność z różnymi kulturami, z których czerpię moc inspiracji. Miewam też muzyczne sny, ale tego niestety nie potrafię uzasadnić. Uwielbiam także muzykę filmową – dobre kino często wprowadza mnie w twórczy klimat.

– *Jakie jest Pańskie zdanie o polskiej muzyce rockowej?*

– Uważam, że sytuacja na rockowym rynku muzycznym jest niezła. Po prostu trzeba dbać o jakość swojego produktu, a sukces jest wyłącznie kwestią czasu. Szkoda oczywiście, że tak wspaniałe wokalistki jak Agnieszka Chylińska łaszą się na zrobienie kariery popowej... Znacznie lepiej brzmi w pięknych rockowych kompozycjach.

– *Nad czym Pan teraz pracuje?*

– Dosłownie kilka dni temu skończyłem pracę nad wspomnianą nową płytą, dedykowaną kobietom i wszystkim zakochanym. Jest to mieszanka bardzo melodyjnych utworów. Niebawem ruszamy z koncertami promocyjnymi, poza tym można nas usłyszeć w rozgłośniach radiowych. Jestem także jurorem w programie „Shibuya” Viva Polska. Przyznam, że to wspaniałe uczucie, ponieważ nareszcie to ja mogę kogoś oceniać. Staram się być sprawiedliwy i wymagający. Potwierdzam plotki: szukam kogoś wyjątkowego, aby napisać kolejny przebój i dać młodej, zdolnej osobie szansę na istnienie na rynku muzycznym.

ZielonaBialoleka.info
przewodnik do Zielonej Białoleki

„Aveciarza” możesz także czytać na portalu zielonabialeka.info

www.ZielonaBialoleka.info



fot. Olek Wojtecki, Paulina Garlej, Gosia Kiczko, Gosia Stelmach, Ania Kamińska

łatwo znaleźć kogoś, kto się nim zajmie.

Katarzyna z Pawłem wiedzą to doskonale. Oni i ich dzieci od trzech lat nie mają swego miejsca. Jak dotąd prawdziwie skutecznej pomocy udzielali im wolontariusze i zwykli ludzie. Hojność ludzka nie zna granic i tylko dzięki niej jakoś udało się przetrwać ten trudny czas. Teraz konieczność przywiodła ich na dawne miejsce. Potrzebne jest wiele czasu, wysiłku, pomocy rzeczowej i materialnej nim to miejsce stanie się przytulnym domem, rozbrzmiewającym beztróskim śmiechem dzieci.

O rodzinie (nazwisko znane redakcji) borykającej się z widmem bezdomności, pisałam kilkakrotnie (m.in. w „Echu Białoleckim” we wrześniu i grudniu 2007 r.). Dzięki pomocy wolontariuszy oraz uporowi i determinacji samych zainteresowanych, dwukrotnie udawało się znaleźć dla nich dach nad głową. Za każdym razem było to tylko tymczasowe rozwiązanie. Po blisko trzech latach tułaczki młodzi ludzie z dwójką kilkuletnich dzieci znaleźli się w punkcie wyjścia – bez mieszkania i nadziei na normalność.

Z „kozą” w baraku

Za pierwszym razem z pomocą przyszła właścicielka gospodarstwa przy ulicy Cieślewskich, która zgodziła się wynająć część zabudowania gospodarczego, zwykle służącego za schronienie pracownikom sezonowym. Teraz miała tu zamieszkać czteroosobowa rodzina: Paweł, Katarzyna, Kuba i Piotruś.

Radość z objęcia w posiadanie dwóch pokoików, łazienki i aneksu kuchennego była tak wielka, że przesłaniała wszelkie niedogodności, jak to, że budynek nie był ocieplony albo że ściany przeżarła wilgoć. Napłynęła pomoc wolontariuszy, dzięki której pomieszczenie gospodarskie zamieniono w część mieszkalną. Widmo zimy udało się odpędzić wstawioną do wnętrza „kozą”, a liczne problemy dnia codziennego staraniami Katarzyny o przyznanie zasiłku, zakup węgla, a przede wszystkim utrzymanie ogniska domowego. Stan ten trwał pół roku, aż z okazji Gwiazdki właścicielka gospodarstwa, przyjąwszy kolejną sumę za wynajem, podziękowała za współpracę i zażądała natychmiastowego opuszczenia podwórka.

W bloku za kasę

Za drugim razem udało się wynająć mieszkanie w bloku przy ulicy Ciupagi. I znów życie wróciło na swoje tory. Tym razem za „blokowe” warunki trzeba było uiszczać wysoki czynsz. Do tego dochodziły opłaty licznikowe oraz inne wydatki, co powodowało, że z dnia na dzień sytuacja materialna rodziny pogarszała się.

Paweł wciąż poszukiwał pracy. Chwytał się każdego możliwego zajęcia, aby zdobyć środki na utrzymanie rodziny. Katarzyna opiekowała się dziećmi, starała się wiązać koniec z końcem i szukać pomocy, gdzie tylko się da. To w tej sytuacji wolontariusze okazali się niezawodni. Pomoc napływała z różnych stron – ubrania, jedzenie, zabawki dla dzieci, czasem też pieniądze. W pomoc włączyli się nawet nowożeńcy, którzy z okazji ślubu zasugerowali gościom weselnym, aby zamiast kwiatów przynieśli artykuły szkolne i zabawki, z których później znaczną część podarowali Kubusiovi i Piotrusiowi. Przez ostatnie miesiące pomoc materialną ofiarowała Fundacja AVE oraz Stowarzyszenie „Nasza Choszczówka”. Jednak sytuacja uległa zmianie, gdy młodym ludziom wypowiedziano dalszy wynajem. Widmo bezdomności powróciło.

Rak

Od momentu utraty dachu nad głową (wymeldowani przez dziadka Katarzyny z zajmowanej przez siebie części domu, którego pan S. jest właścicielem) młodzi ludzie podejmowali szereg działań mających na celu zdobycie mieszkania. Bronili się przed najgorszym z możliwych rozwiązań, to znaczy ośrodkiem dla bezdomnych.

– To nie jest miejsce dobre do życia. Zwłaszcza, gdy ma się dzieci – twierdzi Katarzyna. – Słyszałam też radę, żeby iść do domu samotnej matki – opowiada dalej – ale ja chcę utrzymać rodzinę w komplecie. Chłopcy potrzebują ojca!

I zaczęła starać się o przydział mieszkania komunalnego, składając liczne podania, zaświadczenia, wnioski, wyjaśnienia, potwierdzenia. Wszędzie słyszała: „Proszę czekać”.

Ale Katarzyna nie mogła czekać. Walczyła. O dzieci, o męża, o pracę, o dach nad głową, o życie. Swoje życie. Niedawno bowiem wykryto u niej nowotwór. Czas zaczął więc płynąć szybko. Zbyt szybko jak dla takiej młodej dziewczyny. Ale jej upór pozostał

nadal wielki.

Zdecydowała się więc na wizytę u samego burmistrza Białoleki, szukając zrozumienia dla sytuacji, w jakiej znalazła się jej rodzina i prosząc o konkretną pomoc. Katarzynę przyjął zastępca burmistrza p. Andrzej Opolski. Poinformował, że dzielnica nie dysponuje wolnymi lokalami mieszkalnymi, że budowa bloku komunalnego dopiero się rozpoczęła i że trzeba cierpliwie czekać. Udzielił też wskazówki, że trzeba samemu szukać:

– A w TBS-ie pani pytała? Nie? Niedobrze, niech pani tam spróbuje – radził. Katarzyna dowiedziała się też o przypadkach, gdy ludziom „się udało, bo cierpliwie przychodzili w swojej sprawie”, ale usłyszała również niemiłe uwagi o rodzinach pijaków i „darmozjadach, którzy tylko czekają na łatwiznę, zamiast brać los w swoje ręce”.



Przez kolejne miesiące Katarzyna nie ustawała – brała los rodziny w swoje ręce. Rozszyfrowała tajemniczy skrót TBS* i poznała prawdę o możliwościach uzyskania mieszkania z tej puli; szukała poparcia w OPS-ie, składała podania, nadzieja rosła wraz z wykańczaniem budowy bloku komunalnego przy ulicy Porajów. Potem ogłoszono listę osób zakwalifikowanych do udzielenia pomocy mieszkaniowej. Niestety, nie zmieścili się w pierwszej setce.

– Już nie wiem, co robić – skarzy się Katarzyna. – Żeby tak chociaż jakieś mieszkanie do wyremontowania, daliśmy sobie radę, tylko żeby gdzieś normalnie mieszkać – szukała, ale bez skutku.

Tylko dla „naprawdę potrzebujących”

Do akcji dołączyli radni – Bartek Włodkowski, Krzysztof Pelc, Marek Fronczak. Ten ostatni zrobił co w jego mocy, by rodzina Katarzyny znalazła się na jednym z początkowych miejsc na liście oczekujących na mieszkanie. Odbły się też rozmowy z burmistrzem, który nie mówiąc ani „tak” ani „nie”, dawał nadzieję. Potem odsuwał ją w nieokreśloną przyszłość, tłumacząc, że budowa kolejnego bloku komunalnego jest dopiero w planach. Jeden został już co prawda wystawiony i zasiedlony. Wiadomo, że są w nim jeszcze wolne mieszkania, ale za-

chowane, jak tłumaczy burmistrz, „na okoliczność nagłych wypadków i rodzin naprawę potrzebujących”. No i jest jeszcze jeden powód – przepisy: bezwzględne rygory metrażowe. Jak tłumaczy burmistrz „to duża rodzina i należą się jej specjalne i godne warunki, a my nie dysponujemy odpowiednim do jej wymagań lokalem...”.

Tymczasem ta „duża” rodzina marzy tylko o niewielkim ale własnym kącie i nie jest pod tym względem zbyt wymagająca – wystarczy cokolwiek, byle nadało się do zamieszkania i gwarantowało minimum socjalnych warunków. Ponaglany przez radnych burmistrz obiecał „coś zrobić” w tej sprawie, a mianowicie przyjąć zainteresowaną jeszcze raz i poszukać „w mieście” wolnego mieszkania.

Opolski: „Pani wszystkich denerwuje...”

Pani Katarzyna, przybywszy na umówione spotkanie, doznała zaszczytu rozmowy z samym burmistrzem i jego zastępcą. Obu Panów zdążyła już poznać, gdyż od prawie trzech lat przychodzi do urzędu dzielnicy z tą samą prośbą o pomoc. Jakież było jej zdziwienie, gdy tym razem usłyszała jednoznacznie odmowną odpowiedź! Burmistrz Kaznowski cierpliwie nakreślił trudną sytuację dzielnicy i brak wolnych lokali mieszkalnych. Dobitniej wyraził to burmistrz Opolski, który nie przebiegając w słowach dał do zrozumienia, że „mieszkania nie będzie”, bo „pani za często tu przychodzi, wszystkich denerwuje swoją natrączywością i za bardzo naciska”. Poza tym raz już zaproponowano tym ludziom lokal mieszkalny, a oni go nie przyjęli. Przemilczał jednak fakt, że mieszkanie to było w katastrofalnym stanie, z ujęciem wody na podwórku i toaletą w postaci „domku z serduszkami”. Jak tu dochodzić do siebie po operacjach? Jak leczyć dzieci? Zgodnie z przepisami rodzinie przysługiwała możliwość odmowy przyjęcia lokalu, który nie spełnia podstawowych warunków sanitarnych.

Katarzyna podjęła decyzję – nie stać ich na wysoki czynsz na Ciupagi, trzeba wrócić na Borecką, do dziadka. Liczy, że ten w obecnej sytuacji (po interwencjach, kiedy Katarzyna jest poważnie chora) zaprzestanie swojej irracjonalnej walki.

Zresztą, aby nie odebrano jej dzieci, po prostu MUSI znaleźć im mieszkanie. I to jak najszybciej! Niestety, część domu zajmowana niegdyś przez Katarzynę jest zdemolowana, właściciel dołożył bowiem wszelkich starań, aby skutecznie uniemożliwić młodym ludziom powrót na dawne miej-

sce. Trzeba więc wstawić drzwi, uszczelnić okna, zrobić podłogę, podłączyć prąd i wodę, zamontować piec do ogrzania całego, ocieplić ściany, wstawić meble, zakupić opał na zimę... Lista jest długa a realizowanie planu minimum oznacza wydatki przekraczające możliwości Katarzyny i Pawła, chociaż on ma już pracę i znakomicie wywiązuje się z obowiązków domowych i zawodowych, a ona pomimo choroby i przerzutów również niebawem podejmie pracę... Słońce zaczyna wychodzić. Trzeba tylko dać szansę, aby nadzieja wykiełkowała.

Tymczasem dzieci chorują, Katarzynę czeka kolejna operacja onkologiczna, brakuje pieniędzy nie tylko na remont, ale na bieżące opłaty takie jak obiady w szkole dla Kubusia czy pobyt Piotrusia w przedszkolu. Koło problemów toczy się dalej, zgarniając w siebie, niczym śnieżna kula kolejne przeszkody. A śnieg już za pasem...

Pomóżmy im!

W imieniu Katarzyny i Pawła zwracam się z gorącą prośbą do ludzi dobrej woli o pomoc w doprowadzeniu domku na Boreckiej do stanu pozwalającego na zamieszkanie w nim. Wstępne, minimalne szacunki, obejmujące ponowne podłączenie instalacji elektrycznej, doprowadzenie wody (hydrofor), kupno małej wanny i termy to koszt około 3000zł. Potrzebne są także drzwi wejściowe, 2 okna, regał, stół, 4 krzesła, miejsca do spania dla dzieci, szafka łazienkowa. Bardzo dziękuję Panu, który pomaga w podłączeniu energii elektrycznej, Państwu, którzy przekazali piękny dywan, Pani, która odstąpiła szafki kuchenne, Stowarzyszeniu „Nasza Choszczówka” i Fundacji AVE za nieustającą pomoc rzeczową i finansową.

Każdy, kto chciałby pomóc rodzinie Katarzyny, może przekazać dar rzeczowy lub finansowy. Kontakt: Anna Zarzycka 0 602 408 787, numer konta Fundacji AVE: 39 1240 6117 1111 0000 4760 9035 z dopiskiem „Dla Katarzyny”.

A ci, którzy nie mają sposobności, aby pomóc, zwłaszcza młodzi Czytelnicy, niech zainspirują się tą historią i nigdy w swoim życiu „nie denerwują się” obecnością potrzebujących.

Anna Zarzycka



Mama Magdy i Marysi, mieszka na Marcelinie, wolontariuszka Fundacji AVE

*TBS – Towarzystwo Budownictwa Społecznego, mieszkania TBS są przeznaczone dla osób, których dochody nie pozwalają na uzyskanie własnościowego lokalu. W praktyce opłaty kaucyjne czy stawki czynszu powodują, że program TBS adresowany jest do osób ze średnimi dochodami.

KOLOROWY PRL

Chście zawdzięcam nie tylko tysiące godzin rozrywki, ale również wyobraźnię. Kajko i Kokosz uczą szlachetnych postaw życiowych, solidarności i wierności przyjaciółom, zdrowego rozsądku, autoironii i wiary w innych ludzi.

Tajna Polska

Szczególnie śmieszne wydają mi się zapisy wszelkich odgłosów na przykład „bdon”, „grr-roop”, „hank”, „ponc”... Szcztumbrrr! (odgłos rzuconego noża wbijającego się w futrynę).

Magda

Komiksy odziedziczyłam w szkole po braciach i pokochałam pierwszą miłością. Jeszcze dziś chętnie do nich wracam, ten klimat, bijące ciepło i wiara w człowieka są niepowtarzalne.

Weronika

Niesamowity rysunek w połączeniu z doskonałym scenariuszem = Janusz Christa. Bakcylem Chistokomiksodensiss zaraziłem się od mojego taty i tak żyję nieuleczalnie chory od 22 lat, he he he.

Mikołaj

Panie Januszu, dziękuję za dużo kolorowych chwil w szarej rzeczywistości PRL.

Dzidek

AUTENTYK

Janusz Christa namalował mi jakąś połowę kolorów w tym okresie mojego życia, gdy byłem mniej więcej wysokości biurka.

Maciek

Gdyby Christa tworzył na „zgniłym zachodzie”, byłby ikoną komiksu po wsze czasy. Oddał się nam, dzieciom komunizmu.

Loader

Po tekście o „Świecie Młodych” postanowiliśmy napisać o komiksach PRL-u – kolejnej jaśniejsze stronie minionej epoki. Do tego zadania w gronie redakcji jednoznacznie wytypowano mnie, weterana z 30. na karku, który pamięta szaleńczy pęd do sklepu przy Suwalskiej na Bródnie, gdzie właśnie rzucono „Ptysia” (oranżada w szklanych zielonych butelkach) albo delicje, nota bene sprzedawane w limitowanych ilościach po paczce na głowę.

Nie wiem, czy ktokolwiek z młodych czytelników „Aveciarza” rozczyta ten artykuł. Celowo piszę rozczyta, bo będzie mowa o mnóstwie emocji i zachowań, które zrozumiałe są dla ludzi, żyjących w szarej rzeczywistości PRL, dla pokolenia telewizji cyfrowej mogą tracić myślką. Czy rysowane historijki o perypetiach dwóch ludków mogą jeszcze podniecać?

Bazar

Rzecz działa się w latach 80. daleko od Białoleki, która wówczas była autentycznym przedmieściem. Na Ursynowie oprócz bloków z wielkiej płyty, stert rusztowań, walających się desek, piaskowych gór, saren przychożdżących na popas tuż pod bloki przy Małej Łąki, rechotu żab z mokradeł Moczydła i ożywającego w soboty i niedziele bazaru „Na Dołku” usytuowanego nieopodal nieistniejącej wówczas linii metra, „nie było niczego”.

Wokół tego bazaru ogniskowało się moje życie. Wśród setek kramów z ubraniami, jedzeniem, mydłem i powidłem były dwa, które mnie przyciągały: stoisko filatelistyczne (tak zaczęła się moja pasja ze zbieraniem znaczków z kolejami) i obwoźny antykwariat. Co sobotę przez kilka godzin grzebałem w kilkudziesięciu kartonach, wzbogacając domową bibliotekę, a także zdobywając kolejne komiksy o „Kajku i Kokoszu” i stare numery magazynu „Relax”, w którym również ukazywały się historijki o dwóch dzielnych wojach.

Żeby zrozumieć, dlaczego bazar miał siłę

magnesu trzeba sobie uświadomić, że książki w okresie PRL-u były towarem deficytowym. Kupowało się je spod ludy, na co ciekawsze pozycje obowiązywały zapisy (przed ich wydrukowaniem) i stosowne przedpłaty. Dla stu tysięcy osiedla, jakim wówczas był Natolin, do kilku kiosków docierało łącznie 10-15 egzemplarzy nowego komiksu. Podobnie było z czasopismami takimi jak „Świerszczyk”, „Płomyczek” czy „Płomyk”. Pierwszy album o Kajaku i Kokoszu pt. „Na wczasach” zdobył mój tata oczywiście spod lamy u znajomego księgarza w zamian za jakąś przysługę (nazywało się to „załatwianiem”). I tak się zaczęła moja przygoda.

Kajko i Kokosz wiecznie żywi

Początek serii komiksów „Kajko i Kokosz” to druga połowa lat

70. Najpierw w wersji czarno-białej ukazywały się w odcinkach w „Wieczorze Wybrzeża”, później już w kolorze w „Świecie Młodych”. Na początku lat 80. wszystkie historie wydano w formie albumów – tych właśnie, które stały się magicznym elementem dzieciństwa mojego, moich kolegów i całego pokolenia. A ponieważ pieczołowicie je przechowyuję i zamierzam za niedługo zainteresować nimi mojego synka, liczę, że będzie to między pokoleniowa przygoda.

Łącznie wydano 16 tomów. Wszystkie opowiadają o przygodach dwóch dzielnych wojów: szczupłego, rozsądnego i odpowiedzialnego Kajka oraz rozkosznego, mającego mnóstwo przywar amatora dobrej stawy - Kokosza. Rzecz dzieje się w średniowiecznym grodzie, w którym panuje dobroduszny kasztelan Mirmił, często popadający w depresję. Na szczęście nimna krew potrafi zachować

jego żona Lubawa, która skutecznie sprowadza męża na ziemię swoim stanowczym „Nie dramatyzuj” i groźbą wyprowadzki do mamusi. Kajko i Kokosz stoją na straży pokoju, któremu co i raz zagrażają zbójcerze z pobliskiej wawrowni. Na szczęście „krwawy Hegemon” jest przodem wszystkim chimerycznym, a jego

drużyna (z próbującym zdetronizować Hegemona Kapralem, Ofermą czy Wojem Witem o uسوبieniu Don Kichota) znacznie lepiej odnajduje się w opróżnianiu beczulek z piwem niż na placu boju. Choć zbójcerze na wszystkie sposoby próbują zdobyć gród Mirmiła (podkopami, taranami, machinami oblężniczymi i dziesiątkami innych forteli) zawsze ponoszą klęskę. Głów-

nych bohaterów wspiera smok Miluś, ciocia Kokosza czarownica Jaga, mieszkająca nieopodal grodu oraz jej mąż zbój Lamignat ze swoją nieodłączną maczugą.

Przeabawnych perypetii Kajka i Kokosza opowiadać nie będę.



Odbieranie komiksu

wieloletniej przyjemności samodzielnego poznawania Mirmiłowa uważam za zbrodnię! Młodych czytelników „Aveciarza” zachęcam, żeby pogrzebać w szafie albo w internecie, gdzie można znaleźć skany poszczególnych albumów.

Zastanawiam się, co zdecydowało o kulturowym charakterze tej serii. Na pewno kolor (w latach 80. jedynym miejscem, wyróżniającym się na tle powszechnej szarzyzny były Pewexy), a także o szczegóły, niepowtarzalny mistrzowski styl autora, charakterystyczna kreska, kapitalna fabuła (nieszablonowa, pełna zaskakujących zwrotów akcji, adresowana do

czytelnika w każdym wieku), humor, czary, plejada niesamowitych postaci (niezapomniane bostrostwory Fajfi, Gryz Niewida, Figlarz Bugi), realizm, odniesienia do socjalistycznej współczesności (gra skojarzeń z czytelnikiem), wreszcie znakomite teksty. Mała próbka – Kaprał: „Hegemonie, melduję, że zgodnie z planem mieliśmy budować maszynę przez tydzień, zobowiązaliśmy się czas ten skrócić o sto procent, a zobowiązanie przekroczyliśmy o dwieście procent”;

Kokosz: „Kto w epoce lotów na miotłach wierzy w czarodziejские obrusy?”; Wojski Niesław: „Sporządź protokół straty dwudziestu łuków i wpisz do pozycji <<czary>>”; Kokosz: „Kajtulu, ratuj, przecież wiesz, że szermierkę uprawiam wyłącznie tyżką!”.

Komiksy o Kajku i Kokoszu były wówczas swoistym novum. Zasadniczo różniły się od dydaktycznego „Tytusa” czy moralizatorskiego do bólu „Kapitana Żbika” (komiksowego agenta 007 PRL). Mnie kojarzyły się z kolorowymi historijkami Disney’a przywiezionymi przez moją tatę ze Szwecji. Ale Kajko i Kokosz byli mniej absurdalni, bardziej realistyczni a przez to pociągający. Pomimo wielu przeciwności zawsze odnosili sukces, ponieważ mieli czyste zamiary i dobre serca. Nie byli oczywiście idealni. Często uciekali się do forteli, „kombinowania”, a nawet czarów, ale mimo to nigdy nie pozostawali obojętni na potrzeby innych... Krótko mówiąc biła od nich taka autentyczna i zupełnie nie patetyczna szlachetność.

Janusz Christa

Ojcem Kajka i Kokosza jest Janusz Christa, rysownik, scenarzysta, zapalony perkusista i żeglarz. Urodził się w Wilnie w 1934 roku, skąd musiał uciekać przed Armią Czerwoną. Osiadł w Sopocie, gdzie żył, tworzył i zmarł nagle w listopadzie ubr. „Kajko i Kokosz” to jego ostatnia duża seria. Przedtem powołał do życia dwójkę marynarzy Kajka i Koka (mówił, że Kajko i Kokosz to ich praprapradziadkowie), którzy rozwiązywali zagadki kryminalne a nawet wylądowali w kosmosie. Historie drukowane

były od lat 50. do 70. w formie czarno-białego paska, obejmującego kilka komiksowych kadrow w „Wieczorze Wybrzeża” i oczekiwały się imponującego tytułu najdłuższego polskiego serialu komiksowego, złożonego z 4000 odcinków! W formie albumowej wydano je dopiero w latach 90.

Co ciekawe Christa wielokrotnie chciał zakończyć cykl, ale czytelnicy mu nie pozwalali i zmuszali do pisania kolejnych kilkuset odcinków. Autor musiał zmagać się także z cenzurą. Na przykład w grudniu 1970 roku jeden z odcinków nie został wydrukowany, ponieważ znalazł się w nim spalony dom jakiegoś kosmicznego dygnitarza. W tym samym czasie protestujący spalili budynek PZPR w Gdańsku.

Wielokrotnie zarzucano Christa, że seria „Kajko i Kokosz” jest plagiatem francuskiego „Asterixa”. Autor nie ukrywał, że inspirował się zagranicznym hitem, ale jednocześnie podkreślał, że pierwowzór – Kajtek i Koko – powstał dużo wcześniej.

Czwartkowy figiel

Lata 80. to w moim życiu czas, kiedy namiętnie pisałem listy do autorów moich ukochanych książek. Później, jako ośmiolatek do wielu z nich również telefonowałem. Pamiętam precudowne rozmowy odbyte z natolińskiej budki telefonicznej z Hanną Ożogowską czy Papciem Chmielem. Ileż musiałem mieć wówczas tupetu? Ale było w tym coś szczerego i naturalnego. Tak zresztą zaczęła się moja „redaktorska” współpraca z „Płomyczkim” i jego naczelnym Tadeuszem Chudym.

Pod koniec roku szkolnego 1989/1990 w skrzynce znalazłem szarą kopertę znad morza. Do dziś pamiętam podniecenie, jakie towarzyszyło jej otwieraniu... W środku rysunek Kajka i Kokosza i specjalny dialog w dymku dla mnie. Do dziś staram się w czwartek spłatać jakiegoś figla...

Bartek - Weteran

TELEFON OD „PANKRACEGO”

Na początku wakacji otrzymaliśmy przesympatyczny telefon od twórcy „Pankracego” (spytajcie rodziców o telewizyjne piątki z Pankracym) i wieloletniego redaktora „Świata Młodych” p. Macieja Zimińskiego. Za sprawą znajomych otrzymał kwietniowy numer naszej gazety z tekstem o „PRL-owskim Aveciarzu”. Wzruszony dziękował, chwalił poziom „Aveciarza” i prosił, aby pozdrowić wszystkich Czytelników!



FotoGOŚCIE

PSTRYKANIE Z KLASĄ



Cesarz Jan

Hej, jestem Jasio Włodkowski, mam 3 miesiące, mieszkam na Tarchominie. Tata mówi na mnie Cesarz Jan, a to za sprawą jego przyjaciela Tomka, który dowiedziawszy się, w jaki sposób przyszedłem na świat, sms-owo mnie koronował. W zasadzie nie wiem, o co chodzi, ale nie wnikam. Mam ważniejsze sprawy na głowie. Jestem najmłodszym redaktorem „Aveciarza” i cały wolny czas spędzam na planowaniu specjalnego dodatku dla przedszkolaków. Ciekawe co powie na to nasz wydawca? A Wy co o tym myślicie? Planuję też pikietę przed urzędem dzielnicy na rzecz błyskawicznego rozwoju sieci placów zabaw. Na spacerach skrzykuję chłopaków... Tymczasem pozdrawiam!



KONKURS BIAŁOŁĘKA CIEKAWA (2)



Darek Mysłowski, architekt i fotografik, ur. 1982 r. utrwala w kadrze ciekawe, inspirujące, magiczne, szokujące... miejsca na Białolecie. Zapraszamy Czytelników do wspólnej zabawy. Co miesiąc zamieszczamy zdjęcie – musicie zgadnąć, gdzie zostało zrobione. Dla 3 pierwszych osób, które nadeszły prawidłowe odpowiedzi mamy atrakcyjny sprzęt sportowy, ufundowany przez firmę Planet Outdoor. Piszcie: aveciazr@gmail.com

W ubiegłym miesiącu poprawnej odpowiedzi udzieliła p. Elżbieta Borowiec, która otrzymała plecak rowerowy (sponsor Planet Outdoor). Gratulujemy! Przedstawiony na zdjęciu dom znajduje się przy ulicy Pomorskiej.



Sklep firmowy
Ul. Modlińska 244 A, 03-152 Warszawa
tel. 022 676 68 67
Poniedziałek-Piątek 13-18
Sobota 16-17





Powieść w odcinkach - cz.3

Abdykacja z rozsądku!

Prezentujemy kolejny odcinek powieści Heli Sałasińskiej, mieszkanki Choszczówki, uczennicy I klasy gimnazjum. Zapraszamy do nadświetlenia próbek Waszej twórczości - najlepsze opowiadania, wiersze i wiersze opublikujemy, piszcie: aveciarz@gmail.com.
Główna bohaterka, Rozalka Kwiatkowska-Łączka dopięła swego. Właśnie wyjeżdża na wymarzony weekend za miasto razem z wiecznemi zapracowanymi rodzicami, najukochańszą babcią i szkolną przyjaciółką Ulą. Dzień wcześniej Rozi przysparzyła niezwykłego psa. Dziewczynka, jako „ósmi potomek płci żeńskiej śp. Julii Kwiatkowskiej”, odziedziczyła dar rozmawiania ze zwierzętami.

Dzień był słoneczny, ale nie upalny. Idealny na długą podróż.

– Kukurykuuu!!! – punktualnie o szóstej dziko zawył budzik-kurczak. Rozi walnęła w niego pięścią, a ten ostatni raz odezwał się skrzeczącym głosem. Chciała jeszcze pospać. Kiedy jednak przypomniała sobie o wyjeździe, stanęła na równe nogi i krzyknęła „Juhuu!!!” tak głośno, że aż zaniepokojony tata wbiegł do pokoju.

– Co się stało? – tata był już ubrany i gotowy do wyprawy. – Mówię expressis verbis, moja panno, że do samochodu wszystko już zapakowane!

– A mój rower też?

– No, dobrze, p r a w i e wszystko – zmieszał się tata i pobiegł przygotować rower do eskapady.

– Cześć, Rozi. Zamierzasz dać mi coś do jedzenia? – Rozi usłyszała za sobą głos Psiska.

– Hm... A widziałeś, ile dostałaś wczoraj prezentów?

– To wczoraj miałem urodziny? – żartował pies.

– Psisko! Nie dokazuj, bo twój żywot się skończy! – udając oburzenie, Rozalka wystawiła za okno kocyk z kaczkami.

– Nie! Tylko nie mój kocyk! – Psisko zaskowyczało.

– Ha, ha! Widzisz? Nie wolno się z mną przekomarzać!

– No dobra! Jest super i... nie umiałbym się z nim rozstać! W ogóle jestem szczęśliwy, że ciebie spotkałem...

– Ja też cię bardzo kocham – dziewczynka wtuliła się w miękkie futro.

– Co robisz? Udusisz mnie!

– Rozalia!!! Jest prawie siódma! Czas na nas!!! – zawołała mama.

– Już, już... Psisko, idziemy! Jeszcze tylko szybkie śniadanie i... w drogę!

Psisko dostało w metalowej misce (którą nie za bardzo lubiło) wodę, a w tej z kaczkami (za którą bardziej przepadało) suchą karmę i... czekoladowego batonika. Dla chomików – porcja warzyw, banany i suszona żurawina (przysmak Karla). Rozi zjadła płatki na mleku, omlet i popiła ulubionym sokiem pomarańczowym. Czas wyruszać! Dziewczynka usadowiła się na tylnym siedzeniu, z prawej strony rozłożył się Psisko, po lewej Pepsi i Karla. Babcię mieli zabrać rodzice Uli. Droga dłużyla się niemiłosiernie.

– Daleko jeszcze? – zapytało Psisko.

– Nie, już zaraz dojedziemy! – odpowiedziała Roza niezupełnie zgodnie z prawdą, ponieważ od wsi Czapple dzieliło ich jeszcze 80 kilometrów. Widziała znużenie psa i nie chciała go denerwować. Po pięciu minutach Psisko znowu się odezwało:

– A... Daleko jeszcze? – Psisko było denerwujące nierzadym słownictwem „Shreka”. Rozi zasypiała, gdy znowu usłyszała:

– Daleko jeszcze?

– Rozalko, dlaczego Psisko tak haucze? – spytała mama. Dziewczynka uznała, że to dobry moment, aby wyjawic rodzicom tajemnicę jej szczególnego daru rozumienia mowy zwierząt. – Mamo, tato... Muszę wam coś powiedzieć. Tylko nie zdziwcie się... – kiedy skończyła, w aucie zapanowała cisza. Rodzice wydawali się być zszokowani.

– I co wy na to? – ponaglała dziewczynka, wyczekując reakcji.

Pierwszy odezwał się tata: – Tego się nie spodziwaliśmy...

– ...ja też nie, ale mi to bardzo pasuje! – powiedziało Psisko, a Roza natychmiast przetłumaczyła i wszyscy się roześmieli. Atmosfera rozładowana. Tata zatrzymał auto. Wysiedli.

– Córciu, to wprost niepojęte! Czy ty się aby dobrze czujesz? Nie boli cię głowa? To wielki dar... Jak ty sobie poradzisz? – mama z tatą na zmianę zarzucali Rozalkę pytaniami. Na szczęście z pobliskiego lasu wprost na państwa Kwiatkowskich wyszła grupa harcerzy. Okazało się, że sprzątają las.

– Miejscowa młodzież często urządza tutaj nocne imprezy, po których zapomina posprzątać. Dlatego prowadzimy akcję po hasłem „zbierać każdy może, śpiewać nie zawsze!” – wyjaśnili. Rozpoczęła się rozmowa. Rozalka zadeklarowała, że zorganizuje podobną akcję w Warszawie. Po kwadransie znowu wszyscy znaleźli się w aucie i niebawem wjechali do wsi Czapple – wydała się bardzo przytulna ale szalenie nieucywilizowana. Trochę kluczyli – tata zgubił drogę – ale ostatecznie dotarli do ślicznej, drewnianej leśniczówki z poddaszem i gankiem. Obok domu – ostoja dla zwierząt, a w centralnym miejscu na podwórku ogromny stary dąb, idealny do zbudowania na nim domku-kryjówki. Powitał ich biały pies, za chwilę w drzwiach pojawił się wysoki mężczyzna.

– Witam, jak podróż? Jestem Andrzej Pietruszka – przywitał się, mrugając porozumiewawczo do taty.

– Cześć, Andrzej! Stary kumplu! – zawołał tata tonem ucznia podstawówki. Nastąpiły długie powitania i prezentacje. Pan Andrzej miał czworo dzieci: Ninka, czteroletnia, o kasztanowych włosach i niebieskich oczach, dość nieśmiała, uwielbia zwierzęta; dziesięcioletka Marysia cała w siniakach i strupach, zbójcecki uśmiech zdradzał, że lubi boksować się ze starszym o rok bratem Piotrikiem, któremu z kolei wydaje się, że jego życie to jedna wielka pomyłka! No bo jak chłopak może żyć pod jednym dachem aż z trzema dziewczynkami? Horror. Poza tym nie cierpi, kiedy Gabi (najstarsza z czwórek, blond – piękność, obiekt westchnień wszystkich chłopców) zamienia się w mamę i wrzeszczy na wszystkich o byle co! Pod jej twarzą aniołka kryje się żądna przygód lwica. Nad wszystko kocha swojego konia – Bellę. Trzeba jeszcze dodać, że pies, który pierwszy przywitał rodzinę Kwiatkowskich, jest urodziny prezentem Niny i nazywa się Śnieżka.

– Wejdźcie państwo do środka, obiad już prawie gotowy – zapraszała pani Gosia, żona pana Andrzeja.

Wszyscy usiedli w przestronnym, gustownie urządzonej salonie. Na pierwsze danie – znakomita grochówka, na drugie... – same rarytasy!

– Gdzie kupujecie takiego pysznego kurczaka? – spytał tata.

– Kupujemy? Mój drogi, to co masz na talerzu jeszcze dzisiaj rano biegało po naszym ogródku – uśmiechnął się pan Andrzej.

– Oho! To dobre kurczaki hodujecie – powiedział tata i obydwaj się zaśmiali. Jednak Rozi wcale do śmiechu nie było. Po tych słowach nabrała obrzydzenia do mięsa i postanowiła, że więcej niczego podobnego nie tknie. Przecież ten kurczak jeszcze rano żył! Cóż, ale z tym, co znajdowało się na talerzu, trzeba coś zrobić. W tym samym momencie spojrzęła na Psisko i już wiedziała, że ma rozwiązanie. Niepostrzeżenie przysunęła miskę psa i zsunęła do niej całe mięso z talerza.

Po posiłku przyszedł czas na rozlokowanie wszystkich w pokojach. Rozi i Ula zamieszkały na poddaszu w przestronnej sypialni. Białe ściany wykładane muszelkami, eleganckie łóżka, stoliczki nocne, biblioteczka, angielskie fotele, kilka obrazów (za jednym – sejf!) i ogromna szafa. Jak się okazało można było przez nią przejść – zupełnie jak w Namii – do pokoju Gabi!

– Ale fajnie – zapiszczały dziewczynki. – Będziemy mogły się odwiedzać!

– Tylko żadnych nocnych spotkań! – pogroził tata Uli i wszyscy się roześmieli.

Teraz należało się rozpakować. Rozi zaczęła od walizki Psiska, gdy nagle w drzwiach szafy pojawiła się Gabi: – Jak skończycie, dajcie znać. Pokażę wam ogród – powiedziała i zniknęła.

– Psisko, przynieś mi proszę klatkę z chomikami z przedpokoju. Pepsi umrze z głodu...

– Czy mi się zdawało, czy ty gadałaś z PSEM? – wybałuszyła oczy Ula.

Rozalka musiała więc wszystko wyjaśnić. Przyjaciółka oniemiała, usiadła na łóżku i nie była w stanie wypowiedzieć żadnego słowa.

– Pepsi musi przejść na dietę! Ta klatka jest tak ciężka, że ledwo ją przyniosłem – mamrotało Psisko.

– Nie przesadzaj, idź się lepiej pobawić ze Śnieżką! – dziewczynka przeganiała psa, gdy usłyszała: – Uważaj na Śnieżkę, może się na ciebie rzucić i polizać. Ohyda!

– Pepsi?! Ty też ze mną rozmawiasz? Zwariuję! Myślałam, że tylko Psisko... – Rozalka była autentycznie zdumiona.

– Wszyscy cię rozumiemy! – odpowiedziała miękko głosem Karla.

– Rozi! Ula! Chodźcie! – Gabi zapraszała nowe koleżanki na spacer. – Pokażę wam moje чудо!

Za chwilę dziewczynki weszły do małej stajni za domem. Zobaczyły w niej ślicznego kasztanowego konia.

– To Bella, poznaście się – przedstawiała Gabrysia. – Zapraszam was na przejażdżkę! – dziewczynka wybiegła ze stajni i po chwili wróciła prowadząc dwa równie piękne konie. – To Fantazja i Oleandra, mieszkają u sąsiadów.

Dziewczyny wskoczyły na rumaki – przydało się doświadczenie zdobyte na obozie jeździeckim. Rozi galopowała na szarobiałej Fantazji. Obrwały drogę wzdłuż jeziora. Pełno tu ptaków. Gabrysia bezbłędnie je nazywała: skowronek polny, pliszka, jaskółka dymówka, świergotek łąkowy... Po dwóch kwadransach dojechały do lasu. Na małej polance stał król leśnych

ostepów – dostojny jelen. Gabi dała znak, aby zsiadły z koni. Podeszła do zwierzęcia i... go pogłaskała. Machnęła ręką, żeby Ula i Rozi dołączyły. Sierść jelenia była miękka jak aksamit. Kolejne kwadransy miały niespostrzeżenie, w końcu jelen odszedł na bok. To znak, że czas wracać do domu. Rozi nie mogła się z nim rozstać. Koleżanki siedziały już na koniach, a ona wciąż patrzyła na króla. Zastanawiała się, czemu nic do niej nie powiedział.

– Rozalio, nie chciałem ujawniać, że mnie rozumiesz, dopóki nie zostaniemy sami – odezwał się w końcu dostojnym głosem. – Dzisiaj w nocy wszystkie zwierzęta pragną się z tobą spotkać. Nie mogę ci zdradzić, dlaczego, ale pamiętaj: w nocy, gdy wybije dwunasta będziemy na ciebie czekać. Nie spóźnij się! – zanim zdołała cokolwiek powiedzieć, jelen zniknął. Rozalka była jakby w amoku, po chwili odszukała koleżanki i razem wróciły do domu. Dochodziła 19.

– Gdzie tak długo zabawiłyście? – zapytała babcia.

– Byłyśmy na przejażdżce – odpowiedziała niedbale Rozalka, wydawała się być roztargniona. – Gdzie jest tatuś?

– Wasi tatusiowie pojechali do tak zwanego „Saloon”, tutejszego pubu. A wasze mamy są święcie przekonane, że zwiedzają okolicę...

– Rozumiemy. I pewnie mamy się nie wygadać? – dziewczynki powiedziały chórem, puszcżając jednocześnie oko do babci, która uśmiechnęła się i poszła na górę.

Rozalka chciała zabić dzielące ją godziny od niezwykłego spotkania:

– Mam pomysł! Przygotujmy coś dobrego do jedzenia i zwołajmy wszystkie dzieciaki, żeby się zintegrować...

– Tak, super! – wykrzyknęły pozostałe i zabrały się do pracy. Po godzinie na tarasie zapachniało deserem bananowym na ciepło, szarlotką, landrynkami grejpfrutowymi i gorącą czekoladą.

– A co z Piotrikiem? – zapytała Ula.

– Pewnie maluje – odparła Marysia, a Uli i Roza zrobiły wielkie oczy. W tym samym momencie w drzwiach stanął Piotrek, cały usmarowany farbami, z rozwianymi blond włosami i ślicznymi piwnymi oczami. Rozalka pomyślała, że jest bardzo przystojny.

– Co się tutaj dzieje? – zapytał.

RÓŻNOŚCI

– Myślałyśmy, że malujesz, choć do nas, robimy wieczór integracyjny. Popatrz, ile tu smakołyków. Deser bananowy to specjalność Rozalki, spróbuj.

Po chwili impreza rozkręciła się na dobre. Wszyscy śmiali się, słuchając opowieści Uli o przewziskach i zjadali deserem. Rozi nie mogła oderwać wzroku od Piotra, który poprosił o dokładkę.

– Ja ci zrobię gigantyczną porcję! – wyrwała się Ula, a Skąła (tak na niego mówią; Piotr według Biblii oznacza skale) zrobił zawieszoną minę.

– Nie, ja to zrobię! Nie fatyguj się, Ula – Roza postanowiła wykorzystać szansę. – Chodź ze mną do kuchni.

– Nie wiedziałam, że malujesz – zagadnęła.

– Na początku roku wystartowałem w konkursie plastycznym. Zrobiłem pracę na szkło, ale przyznam, że nie bardzo mi na tym zależało. Po prostu szukałem jakiejś pasji. I choć mi nie wychodziło, nie rezygnowałem. Zapiłem się na kółko plastyczne. No i... teraz jestem najlepszy w malowaniu krajobrazów. Chodź, pokażę ci moją pracownię na strychu.

Po małej drabince wdrapali się do królestwa artysty. Atmosfera niesamowita: wszędzie porozrucane płótna, kartony, tubki farb, niedokończone obrazy. W kącie pokoju wisiał hamak, który służył za łóżko. Na środku duża drewniana sztaluga.

– To niesamowite – wydukała rozmarzona Rozalka.

– Jeżeli chcesz, to wpadnij do mnie jutro, pokażę ci obrazy.

– Bardzo chętnie, ale teraz muszę już iść – odpowiedziała, spojrzawszy na zegarek. Dochodziła jedenasta. Kiedy zeszli na dół, zastali umyte naczyń, kilka landrynek oraz wiadomość napisaną przez Marysię: „JAK WRÓCICIE – IDZCIE SPAĆ. NIE JEDZCIE SŁODYCZY! CAŁA RESZTA.”

– Ja już pójdę spać – powiedziała Rozalka.

– Cześć... – Skąła zrobił małą przerwę – a tak w ogóle jesteś super kumpelą! Dobranoc.

Roza odczekała pół godziny. Punktualnie o 23.30 po cichu wstała. Czas na wycieczkę! Czują, że to będzie długa i niezapomniana noc.

Ciąg dalszy nastąpi
Hela Sałasińska

Wieczór i bal Andrzejkowy
28 listopada 2009 19:30
LIPOWY PRZYLĄDEK
Tel.: 48 22 782 72 64
www.lipowy-przyladek.pl



Międzynarodowy
mecz lacrosse na Białolece

KOPNIJ GRUBEGO!

Aura typowo jesienna. Za oknem szaro, w kałużach coraz więcej drobnych kropelek. Nie lubię takiego deszczu. Najchętniej cały dzień spędziłabym pod kocem. Dzwonię, wołam się upewnić, czy mecz się odbędzie, no bo mokro i zimno. – To co, gramy? – mówię. – No pewnie, a czemu nie? Widzimy się na boisku, życz nam powodzenia, pa! – słyszę w słuchawce rozentuzjasmowany głos Piotrka Stalmacha, zapaleńca i ojca chrzestnego stołecznego lacrosse. Entuzjazm zaraźliwy! Pogoda przestała mi przeszkadzać.

Już z daleka słyszę głośne okrzyki: „Polska, biało-czerwoni!”. Przyspieszam kroku. Na boisku dwie drużyny. Każda odśpiewuje swój hymn. Nasz zabrzmiał doniośle, odbijając się mocnym echem od pobliskich bloków. Zaczęło się. Gra przypominająca rugby, na pewno podobna pod względem poziomu emocji i... agresji. Chodzi o to, by odebrać małą piłkę przeciwnikowi i wrzucić do bramki. Wszystko dokonuje się za pomocą specjalnych kijów zakończonych siatką. Zawodnicy ubrani są jedynie w krótkie spodenki, resztę stroju stanowią ochraniacze. Po kilku minutach meczu pomyślałam, że gdybym to ja grała w lacrosse, robiłabym wszystko, żeby nie zdobyć piłki. Zawodnik, w którego siatce znajdowała się mała biała kula, od razu był atakowany przez przeciwników. Nasi starali się zachowywać delikatnie. Łotysze z zimną krwią uderzali w plecy, głowę i nogi. Szczególnie niebezpieczny okazał się zawodnik nazwany przez kibiców „Gruby”. Masa ciała dawała mu dużą przewagę.

Wszyscy wiedzą, że Polacy są najlepszymi kibicami na świecie. Tym razem również pokazaliśmy, co potrafimy. Na trybunach zasiadli ludzie w różnym wieku, nawet bardzo młodzi, którzy pod wpływem entuzjazmu starszych, krzyčili ile sił: „Nasi gola!” albo „Kopnij Grubego!”. Po każdej

akcji, to znaczy potraconiu przeciwnika, przewróceniu go, lub odebraniu piłki, rozbrzmiewało głośne „Polska! Polska! Polska!”. Jedność, jaką czuje się podczas takiego meczu, jest niesamowita. Mimo zimna i mżawki, wszyscy z wypiekami na twarzy mocno klaskali.

Ostatni gwizdek sędziego. Wynik mało zadowalający dla naszej drużyny, przegraliśmy. Jednak ani zawodnicy, ani kibice nie byli zmartwieni. Obie drużyny dostały brawa. Polacy dziękowali Łotyszom, Łotysze dziękowali Polakom. Do wymiany koszulek nie doszło, choć euforia sięgnęła zenitu. Skończyło się na wspólnym zdjęciu.

– No i jak wrażenia? – pytam Piotrka.
– Super, żyję... – fakt zadowolający, zwłaszcza po zderzeniu z Grubym. – Kolejny mecz gramy na początku listopada, będzie lepiej.
– Super, żyję... – fakt zadowolający, zwłaszcza po zderzeniu z Grubym. – Kolejny mecz gramy na początku listopada, będzie lepiej.

Po meczu każdy mógł spróbować swoich sił w lacrosse. Złapanie małej piłeczki wcale nie jest takie łatwe jak może się wydawać. Na boisko weszli ci, którzy do tej pory zdzierali sobie gardła na trybunach. Wśród nich

Anastazja, młoda, bardzo drobna dziewczyna, zawodniczka powstającej na Białolece pierwszej w Polsce żeńskiej drużyny lacrosse.

– Dlaczego grasz, przecież to taki niebezpieczny, inwazyjny sport?! – pytam zdumiona.

– Dziewczyny mają trochę inne zasady. U nas każde dotknięcie ciała przeciwniczki jest faulem. Uderzać można tylko w kij... A lacrosse zainteresowałam się przypadkiem. Zobaczyłam kiedyś trening chłopaków



Pasjonaci lacrosse z Białoleki we współpracy z Białoleckim Ośrodkiem Sportu i Fundacją AVE zorganizowali na boisku w parku Picassa ogólnopolskie zgrupowanie szkoleniowe i międzynarodowy – pierwszy w polskiej historii lacrosse – mecz z Łotwą. Od 9 do 11 X 49 zawodników trenowało pod okiem doświadczonego selekcjonera, Christiana Zwickerta – trenera Wesley College i wielu drużyn z amerykańskich uniwersytetów, zdobywcy złotego medalu na Mistrzostwach Europy w 2001 roku (selekcjoner reprezentacji niemieckiej), laureata nagrody „Trener Roku 2004”.

Polacy uczyli się ustawień ofensywnych i defensywnych oraz zagrywek przejściowych. – W piątek biegaliście po boisku rzucając do siebie piłkę, bez ładu i składu. Dzisiaj jest zupełnie inaczej, dzisiaj gracie już w lacrosse! – powiedział trener po ostatnim treningu. Spośród wszystkich uczestników zgrupowania wybrał trzydziestu, którzy mieli zagrać w niedzielnym spotkaniu. W reprezentacji znaleźli się czterej przedstawiciele Białoleki.

– Jeszcze przed rozpoczęciem meczu widać było dysproporcję między zawodnikami obydwu reprezentacji. Łotysze – wysocy, dobrze zbudowani mężczyźni. My, studenci i uczniowie, nowicjusze. Trzy lata temu Łotwa brała udział w Mistrzostwach Świata Lacrosse, u nas wtedy jeszcze nikt o tym sporcie nawet nie śnił. Po gwizdku szybko stało się jasne, że będzie ciężko pokonać rywali – mówi Piotr Stalmach, lider warszawskiego lacrosse. I choć Polacy dali z siebie wszystko, mecz zakończył się zwycięstwem Łotwy 16:2. Dwie honorowe bramki strzelili Michał Woźnica i Chris Perziński. – Pomimo przegranej to dla nas bardzo ważna lekcja. Nie dość, że mieliśmy szansę uczyć się taktyki pod okiem świetnego trenera, to także odłożyliśmy nasze klubowe kolory i waśnie na bok, aby założyć identyczne biało-czerwone stroje. Nawet jeśli nie będzie nam dane zagrać w przyszłym roku na Mistrzostwach Świata w Anglii, na pewno ten dzień należy uznać za miłowy krok w rozwoju lacrosse w Polsce! – komentuje Stalmach.

Lacrosse zawitał do Polski w 2007 roku i prężnie rozwija się w Poznaniu, Wrocławiu, Warszawie i Krakowie. Istotą gry jest wrzucenie piłki do bramki przy użyciu metrowego kija zakończonego koszykiem. Można też wytrącać piłki z koszyka przeciwnika. Drużyny liczą po 10 zawodników, a mecz składa się z czterech piętnastominutowych odsłon. Mistrzostwa Świata w Lacrosse rozgrywane są co cztery lata. Obecnym mistrzem jest Kanada, która odebrała po 28 latach ten tytuł Amerykanom. Więcej informacji: piotr.stalmach@gmail.com, www.polandlacrosse.com



i bardzo mi się spodobało: można się naprawdę wyżyć i – co najważniejsze – zgubić sporo kilogramów... Polecam wszystkim dziewczynom!

Jadąc na mecz postanowiłam, że będę obserwatorem. Zanotuję opinie kibiców, opiszę zachowania zawodników, słowem zrobię swoje. I tyle. Nie jestem fanką sportowych emocji. Było zupełnie inaczej, dałam się wciągnąć w kibicowanie i nie raz krzyknęłam: „Uważaj na Grubego!” Rozważam nawet, czy nie przyjść na trening żeńskiej drużyny. (Cóż, taki

kij to świetny argument podczas różnicy zdań z narzeczonym... Tylko nie mówcie nic mojemu Kubie!)

Magda Chorąży

Magda Chorąży, studentka polonistyki, mieszka w Choszczówce



AVECIARZ
Białolecki miesięcznik młodych. Piszemy o kulturze, sporcie, ciekawych inicjatywach.
Redaguje zespół: Ola Borycka (red. naczelna), Marta Ferfét, Agata Mandą, Magda Zarzycka, Janek Pelczyński, Magda Chorąży, Ania i Olga Kamińskie, Anna Kołazińska, Ewelina Głowacka, Maciej Wernio, Damian Robak, Paulina Garlej, Gosia Stelmach, Marta Kowalska, Agnieszka i Bartek Włodkowski
Korekta: Marian Borycki
Skład: Janek Pelczyński
Dystrybucja: Kuba Zawistowski, Leszek Włodkowski
Wydawca: Fundacja AVE
Druk: Seregni Printing Group
Nakład: 20 000 egz.
Kontakt: tel. 0-22 402 25 51, 0600 495 790, 0608178447, fundacjaave.pl, aveciarz@gmail.com
Reklama:
0-22 392-08-83

ZAMIESZKAJ W WARSZAWIE
Bezpośrednio przy Puszczy Słupskiej
ceny domów już od **750 000 PLN**
ZADZWOŃ! 022 392 0882

Rancho Bena
Zapraszamy na:
CHRZCINY, KOMUNIE, SZKOLENIA,
IMPREZY FIRMOWE,
NIEDZIELNE OBIADY Z MUZYKĄ NA ŻYWO.
DLA DZIECI PRZEJAZDZKI KUCYKIEM
28 listopada ANDRZEJKI
130 zł/osoba
SYLWESTER 2009/2010
250 zł/osoba
Stanisławów i Nieporęt,
ul. Brukowa 16
tel. 022 793 33 89, 0 513 94 94 94
www.ranchobena.pl